Numer podwójny 50 kop.

№ 3—4. KIJÓW, 29 KWIETNIA (12 MAJA) 1914 ROKU. № 3—4.

KŁOSY UKRAIŃSKIE

Z DODATKIEM „ROLNIK UKRAIŃSKI".

KANTORY I AGENCJE

KIJÓW — HUMAŃ — BIAŁA CERKIEW — BERDYCZÓW — KAMIENIEC — WINNICA — PŁOSKIRÓW — ŻYTOMIERZ — RÓWNE — ŁUCK.
WILNO — MIŃSK LITEWSKI — ODESA — EKATERYNOSŁAW — CHARKÓW.
WARSZAWA — KRAKÓW — LWÓW — POZNAŃ.



Fot. z nat. W. Męczyński. **NOC NA DNIEPRZE.** *Druk Drukarni Polskiej.*

Kłosy Ukraińskie

Dwutygodnik pod kierownictwem literackiem J. Ursyna.

ROK I. Kijów, dnia 29 kwietnia (12 maja) 1914 roku. № 3—4.



W zadumaniu.

Rysunek oryginalny *Czesława Borysa Jankowskiego* z Paryża.

Klisza wyk. w zakł. „Grafik“ W. Krasnosielskiego w Kijowie.

KŁOSY!

Ojców błędy krytykować, bohaterom z głów wieńce zdzierać, wielkie, męzkie cnoty na drobne cnotki mieniać i na uszczuplonych zagonach—długie, bezkłosne badyle uprawiać.

Bowiem kłosy, aureola zbóż, są cudem, a cudów nie pragną, od cudów bronić się będą ci smutni pracownicy; takim jest ich arcytrzeźwy program, taką ich dziejowa pochyłość.

Jak w graczu, co siadł, by wygrać, wyrabia się namiętność gry, jak w skąpcu, co chciał zaoszczędzić, manja skąpstwa wyrasta, tak i w tych—przezornych—wyrosła przezorność *quand même*, ustępność zawsze i wszędzie i zdolność bajecznie pogodnego konania.

A więc jak najcichsi bądźmy, aby silnych nie niepokoić, języka swego nie dajmy usłyszeć, aby obcojęzycznych nie drażnić, zgadzajmy się na wszystko, jak porcelanowe chińczyki, kwitujmy z marzeń najnieśmielszych i żądań najskromniejszych, potem z warunków do życia najpotrzebniejszych, aż wreszcie skwitować trzeba będzie i z tego pokornego kwitowania, skoro nikt się już o nie nie zatroszczy, a nasi drogo kupieni przyjaciele, gdy im coś jeszcze zechcemy ofiarować, rzekną niecierpliwie: Czegoż chcą od nas ci nieistniejący?

Zgoda. Na wszystko zgoda, byle w dal nie patrzeć, byle szeroko nie oddychać, byle nie myśleć o czem innem, byle się czasem nie ziściło co nieziszczalnego. Przezorną pokorą polewajmy zagon, niech rosną na nim badyle, jakie Bóg da, jakie nakaże okoliczność, oby tylko nie miały kłosów, bowiem kłosy — aureola zbóż — są cudem, a przeciwko cudom staną do walki nawet ci niewaleczni, arcytrzeźwi, badylów zgodności siewcy układni.

Kijów. ROMAN KNOLL.



Rycerze Ukrainy.

„Szeroko rozpostarły się kresy Rzeczypospolitej! jakie tam złote słońce, jakie niebo szafirowe, bez chmurki!“ — opowiadali na Mazowszu powracający z wywiadów w ukrainne strony. Pozostały pisane ślady owych zachwytów, które rozpalały wyobraźnię jednych, nęciły nadzieją lepszej doli innych. A następstwem tego było, że przedsiębiorcze jednostki opuszczały szare kąty domowe, ciągnąc na Ruś pszenną, zabierając dobytek i pozostawiając przy drogich porzucanych kątach tylko swoje serca, z ostatnią prośbą przy rozstaniu: „piszcie na Berdyczów!...“ Dziś pozostała z tego krotochwila, w onczas brzmiało to rzewną tęsknotą, bo cała nadzieja polegała na otrzymywaniu wieści jedyną najpewniejszą naówczas drogą – na Berdyczów.

Praca ojców naszych zgotowała nam na pobyt i kolebkę kraj piękny, co dziś kwitnie, jak sad Boży, a gdzie niegdyś porastały tylko trawy bujne...

O! wy, urocze brzegi Teterowa, połyskujące to srebrem, to miękką głębią aksamitu od chmur ciężarnych nawałnicą i od czarno-zielonych ścian borów sosnowych! Wy świadki moich pierwszych młodzieńczych marzeń i zachwyceń! Drogie miejsca rodzinne! Ztąd na wsze strony prowadzą drogi do miejsc, opromienionych wspomnieniem wypadków i ludzi, jacy się tu przesunęli, rozpłomieniających umysł i wyobraźnię, podnoszących serca...

Bywali entuzjaści młodzi, którzy zwracali z drogi po to jedynie, aby w głębi Wołynia odszukać wioskę, w której Feliński pisał „Barbarę“... A oto droga, na której może nie jedną z późniejszych kreacji osnuł autor „Listopada“, ciągnąc powoli do swojego Cudnowa, tego Cudnowa, który historyk-poeta umieszcza w liczbie świadków chwały kopji husarskiej: „pod Kirholmem, Kłuszynem, Chocimem i Cudnowem...“ A jeszcze inny szlak prowadzi w serce dziewiczej Ukrainy, a na nim leży Kodnia, cudami słynąca, dokąd dziś podążają korzyć się w skrusze i słać prośby i skargi, a gdzie niegdyś stał się „sądny dzień“ w Ukrainie, bo tam pan Stempkowski



Tryptyk. Jacek Malczewski.

„upacyfikował“ bunt „niepotrzebny“, i gdzie odbył się krwawy ostatni akt tej „pacyfikacji“... Przerażona krwawem widmem wyobraźnia ludu długo przechowywała pamięć grozy i przetworzyła w straszliwe przekleństwo: „oby cię święta Kodnia nie minęła!“

A kiedy już mowa o rycerzach i wspomniane imię Rzewuskiego, nie mogę pominąć jednego z objawów rycerskich w miejscowem społeczeństwie — ostatniego zapewne. Więc niech mi tu wolno będzie poświęcić mu chwilkę czasu i myślą się na nim zatrzymać.

Chcę mówić o b a ł a g u l s z c z y ź n i e.

Chociaż niesłusznie byłoby twierdzić, jakoby ona już w grobie. Prawda, znikło to, co stanowiło spójnię; złudzenia w mgłę się rozwiały; nazwa „bałagułów“ służy dziś nieledwie złodziejom koni. Ale to, co ją zrodziło, leży w naturze, istniało od początku zaludnienia tych obszarów i trwa po dziś dzień.

Może kiedyś, za sprawą kolei, odległości i obszary znikną, konie wywiodą się, i uczucie, jakiem oddychali tak zwani „bałaguli“, nie będzie znane nikomu. Ale, jeszcze tej zmiany niema, więc znalazłszy się daleko, między jedną a drugą osadą,*) można się dać unieść złudzeniu, że wszystko jeszcze pozostaje jak wówczas, gdy „ojciec z Dubiecka na kresy wyprawiał“ — w dzikie pola, — kędy życie chrobre — zawdy na koniu i zawdy w obozie...

Zniesiony obóz, ale pozostali ludzie; znikli kozacy zaporożcy, ale miast ich, „wałki“ czumaków, jak pochody obozów kozackich, zupełnie do tamtych podobne, ciągnęły z wiosną, rok rocznie, z atamanem na czele na Krym... Nie stało chorągwi kresowych — więc młodzież zaciągała się w szeregi „bałagułów“... Nie darzył ich swemi względami Henryk Rzewuski **), mając ku temu swoje szczególne powody. Ale to, co się dziś o bałagułach słyszy, z czem się w druku spotyka, jest już sądem ślepego o kolorach. Przyznając bałagulstwu pewien odcień rycerskości, wystawia się je jednak, wbrew logice, za hultajstwo, pozbawione myśli wyższej, — za czynnik demoralizujący *).

Jako żywo! Wszyscy, co się wśród bałagułów znaleźli, stanowili lepszą, a w każdym razie tę część społeczeństwa, w której wrzało życie i nie zaległa apatja ówczesnej doby, nie owładło zniechęcenie... Był to protest przeciw wszelkiej miękości, samolubstwu, sybarytyzmowi. W każdym razie bałagulstwo miało bez porównania więcej charakteru od wielu dziś uprawianych sportów. Składało się to bractwo nie z szalejących z bezczynności urwisów, lecz z ludzi, uprawiających bałagulstwo jako tryb życia, jako pogardę wszelkich wygód, jako samopomoc. Szalona odwaga bałagułów budziła zawiść ku nim wśród tych, którzy z nimi mierzyć się nie mogli, więc na wszelki sposób usiłowano ich zniesławić i okrzyknąć za głupców. A jednak, zamknąwszy w jeden nawias nadużycia, pospołu nawet z temi jakie niesłusznie im przypisywano — nie znajdziemy tam, aby wrząca młodość bałagułów szukała ujścia w wybrykach niegodziwych, w urządzaniu wanien z szampana, w trwonieniu resztek fortun na obczyźnie. Bałaguła nie znał tylko miary, gdy można było wykazać odwagę, graniczącą z szaleństwem: — przepłynąć, w zaprzęgu, wezbraną wodę wiosenną, kiedy, z opowiadań woźnicy, tylko szybko uciekające wierzby nadbrzeżne, wśród ciemności, dawały poznać siłę unoszącego prądu. Na to potrzeba było i koni nielada, i wielkiej, zaprawdę, odwagi... Wnet staje w pamięci „Mohort“ Wincentego Pola: „koń był dzielny, śmiały, spłynął a płynie, że widny grzbiet cały...“, „prąd nie szeroki, lecz był bardzo rwący“ — jak zwykle w naszych rzekach. Niewątpliwie **) poeta sam w podobnych imprezach brał udział w gronie ówczesnej młodzieży, gdzieś na Rosi lub Taśminie, kiedy to tak żywo odtworzył, chociaż w poemacie wspomniał o Dnieprze.

*) Od Piatyhor do Żaszkowa.

**) „Pamiętniki Jarosza Bejły“.

*) Pamiętniki Tadeusza Bobrowskiego.

**) Z ust własnych W. Pola słyszałem opowiadania z jego pobytu na Ukrainie, w Oratowie.



Domine ignosce illis cum nesciunt, quid faciunt.

(Boże odpuść im, albowiem nie wiedzą co czynią.)

Francisco Zurbarán

(1598-1662)

(Obraz szkoły hiszpańskiej ze zbiorów M. Sławińskiego w Kijowie).



Chata. Fot. z natury J. Bułhak.

Okrzyknięty królem bałagułów—Szaszkiewicz,—będący najlepszem ich uosobieniem,—był osobistością wzniosłą i na wskroś rycerską. Zawsze niezmiernie pogodny,—pan marszałek nosił smętek tylko w głębi swego ducha.

Posłuchajmy jego strofek:

Szedłeś ziemię ojców bronić,
To-ć spojrzenie zapał dało;
Było komu łzę uronić,
Gdy się kulką w łeb dostało!

Dziś pryncypia jakieś nowe
Swego chowu gentelmani
Gardzą wszystkiem co krajowe,
Nie żyją—życiem znękani!

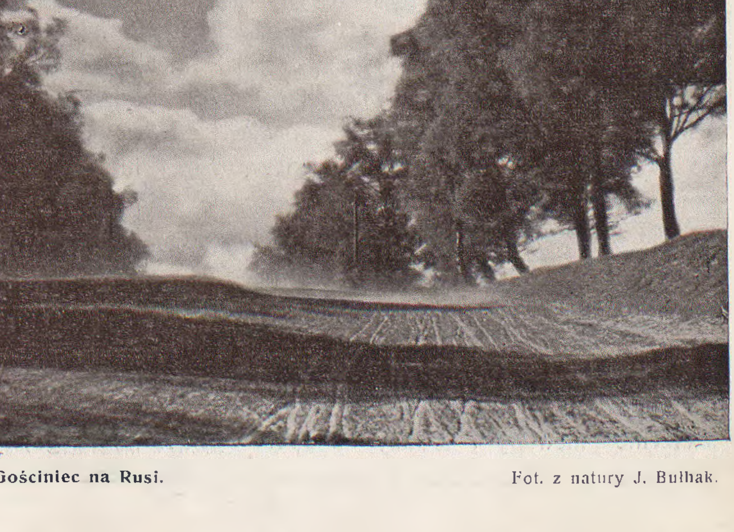
Ja noszę szaty kozacze,
Choć, Bóg świadek, polska dusza;
Z Ukrainy bólem płaczę,
Dla ludu pragnę kontusza!

Tak śpiewał Szaszkiewicz po 1830-ym roku. W tej strofce cały jest program. Pozostała mi ona w pamięci z czasów szkolnych, kiedy ją słyszałem śpiewaną na smętną nutę, przez syna przyjaciela i ucznia tegoż Szaszkiewicza. Odsyłam do niej tych, którzy w dobrej wierze mniemają, jakoby bałagulszczyzny treścią była demoralizacja i jako by bałagulszczyzna pozostawiła plamę na charakterze narodowym. Takich, którzyby ze złą wiarą szerzyli obecnie podobną opinję, dzisiaj niema, skoro tamci dla nikogo już niestraszni Z jednej strony znikła próżność, z drugiej — mniej swobody, wiele troski, młodość zawczasu w twardej dziś pracy. Ale duch bałagulszczyzny kołacze się jeszcze nie w jednej młodej duszy, a na twarz sędziwą wywołuje uśmiech pogody.

Ostatni głos na potępienie tego objawu zabrał publicznie w „Pamiętnikach“ swoich Tadeusz Bobrowski. Ale jakież tam znajdujemy sprzeczności! Chrzcząc bałagulszczyznę mianem niepochlebnem, piętnując jako płytkość umysłową, wstrzymuje się autor od bardziej poszczególnej charakterystyki. A tuż zaraz przyznaje, że czyny brudne nie splamiły ich nigdy—że to musi być zupełnie wykluczone; że żaden z członków bałagulskiego bractwa nie nosił na sobie cudzej krzywdy. Co prawda, do tych biernych zalet mógłby jeszcze ktoś dodać i inne, bardziej wymowniejsze, jak naprzykład, że owi, których okrzyczano zgrają jarmarczną, właśnie nie znosili wszystkiego, co cuchło „targowicą“... Ale i tego, czego autor „Pamiętników“ przemilczeć nie mógł, bo nie odszukał nic, co by temu przeczyło,— dość, aby dojrzeć, że było przecie coś, co kierowało czynami bałagułów przy całej pozornej ich zależności od indywidualnych pobudek; gdzieś kryła się owa dźwignia, której ci "rycerze byli posłuszni... W tajemniczenia, wprawdzie, żadnego nie było, naogół przynajmniej; nikogo tam nie „wprowadzano“, a kto się sam tam garnął, ten czuł się w prawie, jeżeli w sumieniu swojem znajdował upoważnienie. Kto temu nie odpowiadał, ten się o to i nie kusił, a podejścia nikt nie próbował, bo to by się na nic nie zdało.

Autor wspomnianych „Pamiętników“ miał albo osobiste zajście w tych kołach, gdyż młodość jego przypada jeszcze na koniec przekwitu tego żywiołowego ruchu, lub też nieprzejednane uprzedzenie, bo nie trudno dostrzedz, że posiadając umysł dyplomaty nie znosił wszystkiego, co się wyłamywało z wszelkiej rutyny, a miłującego pracę gabinetową trwożył każdy ruch, bo za nim wstawało widmo powstania.

Uzupełnia nam ten obraz z przeszłości w pewnym stopniu, i rozjaśnia nieco mrok, w jaki cała ta



Gościniec na Rusi. Fot. z natury J. Bułhak.

sprawa spowita—to, że sami „bałaguli" tej nazwy dla siebie nie używali, lecz ochrzczeni byli tem mianem przez innych. Jeżeli dziś bałagulstwo jest pojęciem ściśle określonem i utarło się, to dzięki temu, że braknie tych, którzy by przeciw temu protestowali. A że ta nazwa nie była wynaleziona dla bałagułów we właściwem pojęciu — to pewna, choćby dla tego, że jest dawniejszej daty i pochodzenia żydowskiego. Oznaczała bądź przedsiębiorcę transportów handlowych i środków komunikacji, bądź też handlarza koni z nieodłączną od tego brawurą i frymarką wszelkiego rodzaju. Dla tego to była ta nazwa stosowana przez przeciwników do owej patrjotycznej młodzieży, jakby dla zrównania ich z klasą jarmarcznych spekulantów i oszustów.

Musieli jednak bałaguli mieć sami dla siebie jakowąś nazwę, tak jak dziś mają sportsmeni, skauci, sokoli. A że pisanych pomników po sobie nie zostawili, więc wraz z echem ich głosów i ślad nazwy zaginął, a zachował się tylko wyraz, który nie wychodził z użycia. Błąka się jednak strofa piosnki, niewątpliwie ich własnej, będącej dla nich rodzajem hasła, dewizy, — czemś takiem, w swoim rodzaju, jaką była dla wileńczyków pieśń Filaretów — strofka o żadnej osobliwszej treści, która jednak przy swych narodzinach widocznie takim przejmującym rozbrzmiała akordem, tyle się w niej jeszcze domyślano treści, że powtarzano ją powszechnie. Przetrwała dotąd ta strofka, choć o misternie składanych patrjotycznych pieśniach zapomniano, — ta niedrukowana a znana powszechnie w całej Polsce strofka:

„Wiwat Bałta, Jarmolińce i Berdyczów sławny gród!
Tam to nasi Ukraińcy sławnych wiodą z u c h ó w r ód!"

Otóż wyrazu „zuch" nie użyto tu w znaczeniu przechwałki, ale jako imię pospolite, które przypuszczalnie było ich własnem i pochodziło od nich. Tak nazwa „b r a v i" we Włoszech oznacza „d z i e l n i", a w pewnej epoce była synonimem tych, którzy łączyli się przeciw władzy i rządom narzuconym, w których lud widział swoich mścicieli i obrońców, a władze—zwykłych bandytów.

Przed ostatnią wojną widzieliśmy u nas na południu wycieczkę bułgarskiego zespołu, odpowiadającego naszemu sokolstwu, pod nazwą „j u n a k ó w"; oczywiście, miano to nie oznacza przymiotu tych, co weszli do składu stowarzyszenia, lecz wogóle młodzież, i niema łączności z pojęciem „junakierji", również jak i tamto nie oznaczało „zuchowatości" wprost, lecz było przenośnią.

Według wszelkich pozorów, nie było wśród zuchów - bałagułów z góry nakreślonego programu, celu wskazanego — również. Organizacji jakiejkolwiek nie pozostało śladu. Do uświadomienia, jak sądzę, dochodzono li tylko przez intuicję: to, co w ciasnem kółku ograniczało się tylko do strony zewnętrznej, w większe rozszerzając się koła — wskazywało coraz odleglejsze horyzonty. Wszystko razem upoważnia wnioskować, że — na trzy ćwierci wieku wstecz od obecnej doby — u nas na kresach—w stanie pierwszej formacji, we mgławicy jeszcze, mieliśmy to, co w obecnej dobie, świadome celu, ukazało się u naszych sąsiadów z Zachodu i zapowiada ogarnąć całe społeczeństwa—mieliśmy S o k o ł ó w.

LUDWIK ŻMIGRODZKI.

Kacperówka.

O WIELKIM PISARZU.

II.

Jakie stanowisko zajęła krytyka współczesna wobec Kraszewskiego? Nie brakło zrazu głosów niechętnych a nawet zjadliwych, jak głos „Tygodnika Petersburskiego" w r. 1833 o jego powieściach historycznych. Już jednak począwszy od r. 1837, Kraszewski poczyna zwracać uwagę poważniejszych krytyków. Z uznaniem, mniej lub więcej gorącem, piszą o nim Aleksander Tyszyński, Michał Grabowski, Aleksander Groza, Edm. Wasilewski, który w r. 1841 poświęcił mu nawet obszerne studjum, a rozprawiając się z dotychczasowymi krytykami, głębiej wniknął w charakter twórczości Kraszewskiego i nie wahał się przyznać mu już nawet cechy genjuszu. Podnosiły się wprawdzie i wówczas jeszcze głosy niechęci: gdy jedni zarzucali mu szerzenie „niewiary", drudzy, z obozu demokratycznego, pomawiali o wstecznictwo i konserwatyzm szlachecki.

Wrażliwy i drażliwy umysł Kraszewskiego cieszył się może wyrazami uznania, ale dotkliwiej czuł niesprawiedliwość zarzutów. Tak bardzo je odczuwał, że ślad tego żalu znajdujemy jeszcze w pierwszej części „Nocy bezsennych", pisanych w roku 1884. Wspomniawszy, że w Omelnie, majętności poleskiej, dzierżawionej od hr. Krasickich, w ciszy lasów i błot urodziła się „Witoloraudа", do której już dawniej zbierał notatki,—pisze Kraszewski dalej:

„Nie miałem do niej wzorów i nie mogę się przyznać, ażebym kogo naśladował, lub się z czego zapożyczył. Nie należałem ani wówczas, ani później do żadnej grupy, do żadnej szkoły, do żadnej gromadki, któraby myślami się dzieliła, podtrzymywała, wspomagała.

„Osamotniony, od początku byłem wystawiony na strzały i napaści ze wszech stron, zmuszony sam się bronić przeciwko nim, nie mając do pomocy—nikogo.

„Całego mojego zawodu literackiego to odosobnienie było i jest znamieniem Wiele straciłem na tem, żem się na nikogo powołać, do nikogo przytulić nie mógł...

„Obchodzono się ze mną długo, jak ze strzelcem, który bez pozwolenia puścił się w lasy cudze, i którego wszyscy myśliwi „podporządkować“ pod nadzór ścigają...

„Nie mogłem się powołać ani na nauczyciela, ani na towarzyszów, ani na żadną szkołę.

„Że mnie obchodzenie się krytyki, więcej niż srogie bo najniesprawiedliwsze, złośliwe, lekceważące, nie zraziło, żem nie poprzestał pisać, prawdziwie nie wiem, czemu to mam przypisać... chyba uporowi...

„Nikt się do mnie jako do towarzysza nie przyznawał; nikt bratem mi być nie chciał...“



Sitkowce.
Kościołek filjalny.

Pełne goryczy słowa a, wyznać trzeba, nie zupełnie uzasadnione. Nie zbywało wprawdzie na złośliwych i rzeczywiście lekceważących krytykach, jak owa, przez S. P. w r. 1838 w „Magazynie Powszechnym“ ogłoszona. Nie można jednak zapominać, że Kraszewski na każdą niemal recenzję ujemną odpowiadał nieraz nawet bardzo uszczypliwie, jak np. w owej bajce o psach i księżycu, wydrukowanej w „Tygodniku Petersburskim“, jak w artykule o „Galileizmie“ w temże piśmie zamieszczonym. Nie można zapomnieć, że sam Kraszewski w sądzie o innych, a nawet o całej współczesnej sobie literaturze, był zrazu niezmiernie surowy, że w poglądach swych i orzeczeniach często bez głębszego umotywowania, a z zapałem nowatora, ciskał gromy potępienia. To musiało wywołać i wywołało, zwłaszcza wśród „rutynistów“, reakcję, nawet za daleko idącą, aż do zarzutów szatańskiej pychy i braku wszelkich uczuć...

W przytoczonym powyżej ustępie z „Nocy bezsennych“, nie tylko to jest znamiennem, że ostrze pocisków krytycznych, wymierzone w pierś młodzieńca, dawało się tak jeszcze dotkliwie uczuć, po tylu latach, zgnębionemu innymi ciosami starcowi—lecz przedewszystkiem to wyznanie pisarza, że nie szedł niczyim śladem, że nie miał „ani nauczyciela, ani towarzyszów“. I to jest niewątpliwie prawdą. Biernie nie naśladował nikogo, a niejednokrotnie, z pewną nawet cywilną odwagą, wygłaszał nowe idee, stawał się wyrazem nowych kierunków. Chyba nie trzeba, między innemi, przypominać, że Kraszewski pierwszy odczuł głęboko dolę ludu, zrozumiał doniosłość kwestji włościańskiej i stał się pionierem powieści ludowej w całym szeregu takich utworów, jak „Ulana“, „Budnik“, „Ostap Bondarczuk“, „Jermoła“.



Sitkowce
Widok na cukrownię

Równie znamienny—już jako autokrytyka — jest dalszy ustęp „Nocy bezsennych“, w którym czytamy:

„Sądząc z tego, co mnie spotykało i spotyka za żywota, nic lepszego nie spodziewam się w przyszłości...

„Dziś pewną względność ma krytyka na... lata, czeka, aż zamilknę...

„Słyszę tę wrzawę, jaka wkrótce powstanie przeciwko mnie—po ogłoszeniu nekrologu. Ci nawet, którzy pewne zasługi przypisywali popularyzatorowi — (!) — dowiodą łatwiuteńko, jak ogromne krzywdy, jak straszny wpływ wywarła ta moja pisanina, to bazgranie bez końca...

„Nikt z pewnością surowszym być nie może dla mnie nademnie samego. Znam doskonale strony ujemne pism moich; ważyłem i rozważałem nieraz: czym nie miał umilknąć, lub zmienić trybu pracy? Z tem wszystkiem pozostałem przy nałogu i systemie, złym czy dobrym, ale, jak mi się zdawało i zdaje, do potrzeb czasu zastosowanym.

„Nie będę się tem przechwalał, lecz sumienne rozpatrzenie się w różnorodnych moich pismach łatwo uczciwego krytyka przekona, żem dawno podnosił myśli, notował dezyderata, rozpoczynał wiele rzeczy, które dopiero dziś się rozwijają i w życie wchodzą.

„Nie jedno z takich pragnień lat dziesięć i więcej czekało, aby je ktoś zaspokoił. Myśl rzucona przezemnie zapomnianą została, ani ja się o jej własność i inicjatywę

upominać będę, ale pocieszam się tem, żem wiele rzeczy przewidywał i przeczuł.

„Więcej z pewnością pozaczynałem, obmyślałem, niż podołałem jako tako wykończyć.

„Naturalnie, innych temperamentów i charakterów ludzie zarzucać mi to będą, iż należało się ograniczyć, mniej robić, a staranniej i lepiej. Ale Pan Bóg mnie stworzył takim, a nie innym—poszedłem za wskazówkami własnego ducha, nie mogłem inaczej.

„Tak samo możnaby zarzucać krokwi, że nie została belką, albo sośnie, że nie jest dębem...“

Cenna to, zaiste, a nacechowana pewną nawet skromnością autokrytyka, jakoby literacki testament, wskazujący tylko na zasługę zapoczątkowania pewnych kierunków, domagający się jedynie „sumiennego rozpatrzenia“ literackiej puścizny i przyznania spadkodawcy takiego miejsca w uznaniu obdarowanych potomków, na jakie rzeczywiście zasługuje.

I rzeczą jest chyba niewątpliwą, że najsurowszy nawet krytyk, zbadawszy sumiennie całą Kraszewskiego działalność literacką, przyznać będzie musiał, że na skałę obojętności powszechnej padały z jego twórczej myśli krople ożywczej rosy, że podawał on społeczeństwu swemu prawie zawsze chleb pożywny, zdrowy a z ewangeliczną rozdzielany obfitością, którym się karmiły i wykarmiły całe rzesze ciemne dotychczas, lub, co gorsza, niechętne To też nawet bardzo ściśle odłączywszy to, co w dziele literackiem Kraszewskiego okaże się mniej wartościowem lub pożytecznem, pozostanie zawsze okazała rozmiarami, piękna szlachetnością swych linji budowa, w której, jeśli nie każdy szczegół, pod względem artystycznego wykonania, będzie arcydziełem, to całość objawi się nam zawsze, jako arcydzieło zdumiewającej wytrwałości i żelaznej pracy, jako wielki czyn cywilizacyjny.

W tem też cywilizacyjnem znaczeniu literackiej działalności Kraszewskiego spoczywa jego potęga. I dlatego to pięćdziesięcioletni jego jubileusz w r. 1879 stał się powszechnym hołdem uznania, w którym nietylko grono wielbicieli, czy przyjaciół, jak to nieraz się zdarza, lecz cały naród bez wyjątku i różnicy wziął udział.



Wędlarnia wiejska. Fot. z natury J. Bułhak.

„Odpuść Panie sługę swego! — wołał wówczas Kraszewski, kończąc swą mowę w Krakowie, — bo najpiękniejszy dzień życia widziały oczy moje!...“

Był to dzień, w którym Kraszewski—zawsze, a zwłaszcza w ostatnich latach życia, na osamotnienie się użalający, —nie czuł się sam. Otoczył go bowiem Naród...

* * *

Co nastąpiło potem, — to już cień tylko i smutek, beznadziejny, ponury, tragiczny.

Aresztowanie w Berlinie... proces lipski... magdeburska twierdza... S u n t l a c r i m a e r e r u m.

Niezmordowany jednak umysł pognębić się nie dał, a posłuszne mu pióro nie ustawało w pracy.

„Piętnasty miesiąc upływa, — pisał Kraszewski w r. 1889 już w celi więziennej,—od chwili, gdy położenie moje tak się przerażająco i boleśnie zmieniło. Pod brzemieniem ugniatającem mnie studjuję samego siebie.

„Pięćdziesiąt lat temu z górą, w podobnem położeniu nie mając co robić, próbowałem na sobie skuteczności różnych lekarstw, a teraz...

„Powoli siły uchodzą, męztwo słabnie, ale jakaś odrętwiałość spokojna je zastępuje. Tępieję.

„Żyłem zawsze dosyć osamotniony i milczący, teraz miesiącami całemi nie widzę nikogo, oprócz żołnierza, który mi posługuje, nie mówię z nikim.

„O wymianie myśli ani marzyć. Zwija się ona sama w sobie i aby się zamącić, porusza często najdziwaczniejszą gimnastyką.

„V a e s o l i! odwieczna prawda boleśnie czuć się daje.

„Ludzie do pewnego stopnia zastępują książki i dzienniki, ale żywe słowo, jak owoc świeży, inaczej wonieje i smakuje, niż zasuszony i przechowany, i karmi inaczej.

„W siedmdziesiątym trzecim roku życia, choremu — mimowolnie narzuca się pytanie: Czy ja to przeżyję? Czy odetchnę jeszcze na swobodzie?

„Nic smutniejszego nad koniec w tej klatce zimnej, bez ludzi, bez pożegnania, bez uczucia się w pełni praw człowieka, że jest swobodnym. Jednakże i z tą myślą powoli się człowiek oswaja, i na to obojętnieje. Cóż, takie było przeznaczenie!“

ADAM KRECHOWIECKI.

Lwów.

WERWENY

Fantazja.

I.

Muzyka w końcu sali umieszczona walca grała wolnego, jakiś „valse triste“, na które wtedy moda była. I tony leniwo ślizgając się, zda się ścian i obrazów i portjer czepiając, wibrując falami okrągłemi wypływały przez okna otwarte pod ciemnie lipowych stuletnich zaciszy gałęzi sennych, i coraz dalej, razem z wytryskami pasm jasnych świateł, roztapiały się w gąszczy coraz głębszej parku.

Siedziałem w saloniku niewielkim, do sali balowej przytykającym, i w lustrze, na ścianie, wysoko z pochyleniem zawieszonem, śledziłem przez drzwi otwarte ruchy ślizkie i niedbałe, a jednak pełne gracji i precyzji, po posadzce lśniącej, czarnych połyskliwych lakierków mężczyzn i białych matowych pań pantofelków.

A lustro było stare, na wysokość nieduże, ale szerokie, w ramach starych z mahoniu, jakich teraz się nie spotyka. A dawniej wiele takich luster i mebli po dworach było, ale je właściciele lub na strychach składać zwykli, lub za byle co żydom zbywali — skwapliwie dwory meblując stylem hotelowej tandety, zwanej secesją wiedeńską.

A owe zaś cudowne i bezcenne meble stare żydzi do Anglji wysyłali, za grube pieniądze lordom sprzedając, jako że styl ów szlachetny polski zupełnie ze stylem angielskim się zlewał.

Z przykrością o tem myślałem, a z przyjemnością o tem, że jednak w domu, w którym oto byłem (a w którym często bywać zwykłem z upodobaniem, bom sympatję wielką dla gospodarzy żywił), umiano poznać się na pięknie, i cały salonik, w którym siedziałem, umeblowany był w detalach, nawet najdrobniejszych, starymi polskimi sprzętami z mahoniu i innego drzewa, w kolorach ciemnych, bez blagi i krzykliwości bronzów francuskich — o linjach przedziwnie prostych, logicznych i pięknych szlachetnie...

I dalej na temat ten myślałem, walca tonami rzewnymi kołysane myśli mając, i długo bym tak myślał, gdyby nie to, że muzyka umilkła, tokom dumań mych zmieniając fizjologiczne tło.

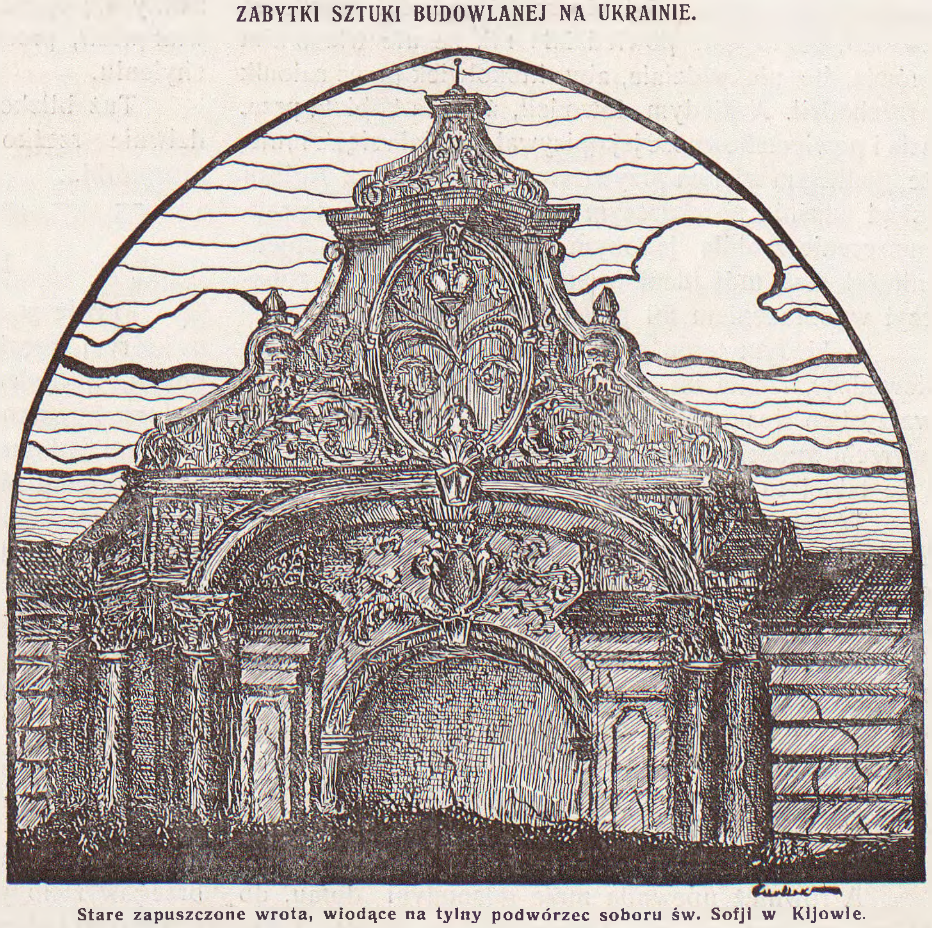
I do saloniku weszło panów dwuch z papierosami, którzy głośną rozmowę wiedli o sposobie młócenia nasion buraczanych i ich oczyszczaniu, więc mimowoli słów ich słuchałem, na twarze dziarskie i ogorzałe patrząc, a potem weszła jedna z pań młodych i pięknych, którą znałem dobrze i do mnie się przysiadła, wachlując się mocno i owym ruchem silną falę perfum w powietrzu roztrząsając.

Więc z nią począłem rozmawiać o rzeczach błahych, a wesołych.

I właśnie wtedy, w czasie rozmowy naszej, przez salonik przeszła panna, która uwagę moją zwróciła.

Miała ona włosy dziwnie cienkie, jak puch, o tonie czystego złota, jaki się widuje czasem na

ZABYTKI SZTUKI BUDOWLANEJ NA UKRAINIE.



Stare zapuszczone wrota, wiodące na tylny podwórzec soboru św. Sofji w Kijowie.
Rysował z natury Józef Hollak.

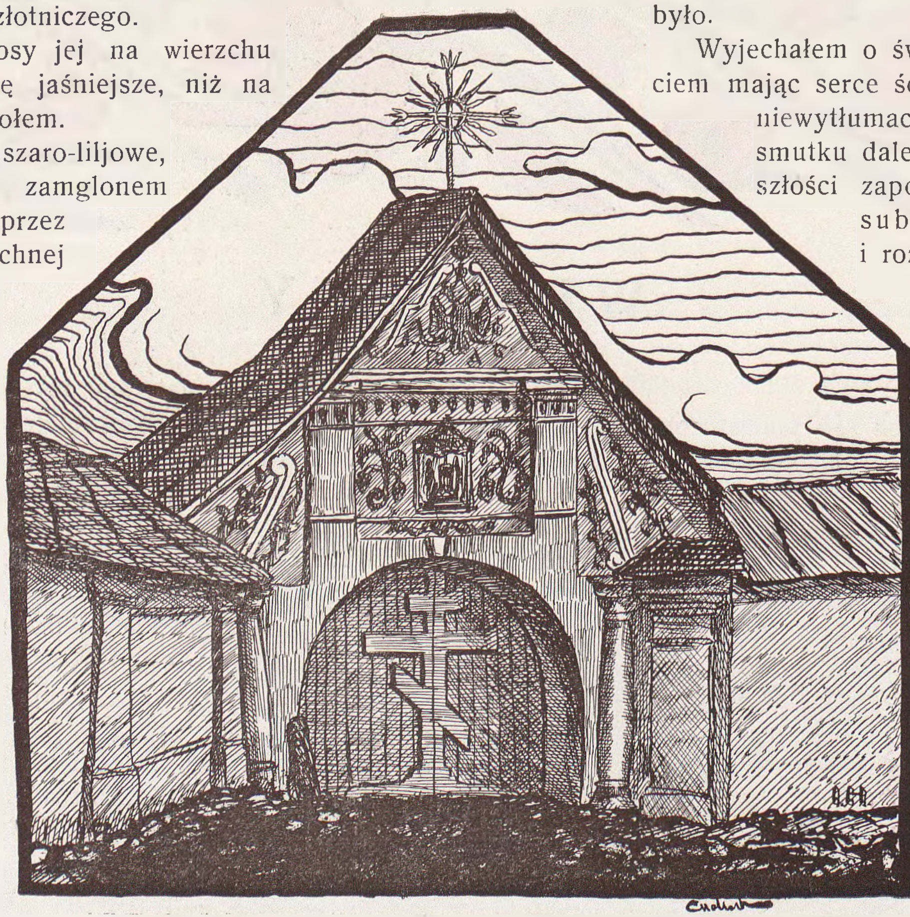
biblotach filigranowych, roboty weneckich mistrzów kunsztu złotniczego.

Przyczem włosy jej na wierzchu głowy były troszkę jaśniejsze, niż na skroniach i nad czołem.

A oczy miała szaro-liljowe, i dziwnem, jakby zamglonem wejrzeniem, jakby przez mgłę gazy cieniuchnej patrzące, i usta wązkie i mocno karminowe, jak wiśnia w gorący letni dzień sokami pełna.

I zauważyłem, gdy przechodziła, że przy sukni, w bardzo lekkim szarawobłękitnym kolorze, miała bukiet białej werweny, i czarne pończochy, i czarne lakierowane pantofelki ze srebrem klamr matowych.

ZABYTKI SZTUKI NA UKRAINIE.



Wrota wiodące na podwórzec monastyru Michajłowskiego w Kijowie.
Rysował z natury Józef Hollak.

A kiedym dziwnie jakoś przejęty zobaczeniem jej, do mojej sąsiadki zapytanie zwrócił, kto to jest? powiedziała mi, że nie wie o kim mówię, bo nie widziała, aby ktokolwiek przez salonik przechodził. A kiedym dowodził, że taka kobieta przeszła i powierzchowność jej opisywał—śmiała się ze mnie, że podlegam wizjom przywiezionym zapewne z Egiptu (skąd właśnie po dłuższym pobycie wracałem) i przypuszczenie zrobiła, jakobym zakochany był i objekt miłości mej, mój ideał w marzeniu stworzony zobaczył wyobrażeniem mi przed oczy postawiony.

A kiedym temu zaprzeczał, prawdy słów moich dowodząc, rzekła mi, że chociaż całe tu obecne towarzystwo doskonale zna, ale nigdy panny o powierzchowności opisanej przezemnie nie widziała, i że takiej tu niema.

W tej chwili muzyka zagrała przegrywkę do kontredansa, więc mię zaprosiła interlokutorka do tego tańca, pragnąc zarazem upewnić mnie naocznie, że osoby takiej, o którą pytałem, wcale na balu nie było.

Więc podałem jej ramię i do sali balowej przeszliśmy, a ja rozglądałem się uważnie, albowiem pewny byłem w szeregach pań ujrzeć włosy ze złota weneckiego i oczy z za mgły patrzące—gdyż przekonany byłem, że je raz przed chwilą w saloniku widziałem, jako że halucynacjom nigdym nie podlegał.

Lecz znaleźć jej nie mogłem.

A również upewniła mnie gospodyni domu, do której udałem się po informacje, że takiej osoby wcale nie zna, i że na balu jej nie było.

Wyjechałem o świcie dziwnem uczuciem mając serce ściśnione, jakby żalu niewytłumaczonego, jakiegoś smutku dalekiego bólu w przyszłości zapowiedzią, a zarazem subtelnej pieszczoty i rozkoszy.

Jechałem polami, na których kłosy bujne falami zastygłemi stały, wchłaniając wilgoć ożywczą poświtu letniego.

A myśli me krążyły wciąż, wyjaśnienia nie znajdując, dokoła zjawy tej postaci tajemniczej o włosach ze złota Wenecji i oczach szaro - liljowych przez gazę mgły patrzących tajemniczo...

Na wschodzie zatliły się ognie purpury słońca wschodzącego i powiał wiatr, przez chwilę łany srebrząc kłosów w pochyleniu.

Tuż blizko, w zbożach nawpół sennych, jeszcze dziwnie rześko rozsypał się przerywany pokrzyk przepiórki...

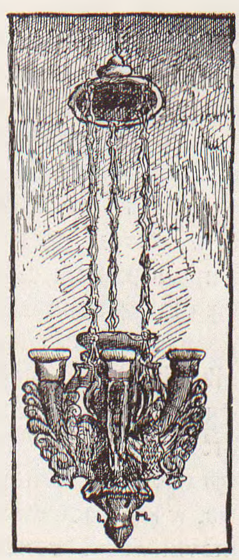
— — — — — — — — — —

II.

Prawie w rok po balu tym, o którym często wspominałem potem, jechałem statkiem po jeziorze Konstancyjskiem z przyjacielem jednym, zamiar mając cudną wyspę Majnan zwiedzić, na której rezydencja letnia wielkich książąt badeńskich się znajduje, oraz park wspaniały doborem rzadkim przeróżnych okazów flory i słynna kolekcja róż — ponoć jedna z większych na świecie.

I właśnie na leżakach wygodnych wyciągnięci z cygarami w ustach kawę poobiednią piliśmy, i oczy napawając pięknem brzegów zielonych i cudem wód jeziornych kolorytu i głębią lazu-

ZABYTKI SZTUKI NA UKRAINIE.



Bardzo stary świecznik gliniany (pow. Kaniowski). Rys. J. Hollak.

rową bezchmurnego nieba — cicho i od niechcenia gawędziliśmy o kwiatach, których przyjaciel mój (profesor botaniki w Zürichu) był namiętnym czcicielem, a ja również kochałem.

I kiedy mi zaczął coś o werwenach opowiadać wspomniałem bal na wsi i uczułem wyraźnie zapach delikatny tego kwiatu, o którym mowa była.

A kiedym głowę instynktem wiedziony niepojętym na bok zwrócił, ujrzałem przechodzącą po gładkich deskach pokładu, w sukni jasno-szarej i szarych bucikach, w panamie na włosach weneckiego złota kobietę, widzianą przezemnie wtedy na balu na wsi — o oczach patrzących przez mgłę gazową, o oczach szaro-liljowych, mistycznych.

A przy sukni miała bukiet werweny białej.

Przeszła tuż obok mnie, nieomal leżak mój fałdą sukni dotknąwszy i znikła we drzwiach prowadzących do salonu.

Kiedym ze zdziwienia ochłonął, a właściwie z dziwnego uczucia, które mi serce ścisnęło, zerwałem się z leżaka, tłukąc w drobne kawałki filiżankę od kawy, i nie odpowiadając na zdumione pytania przyjaciela mego, do salonu poskoczyłem.

Lecz prócz zakochanej (to się odrazu poznawało) pary młodych tłustych mieszczan niemieckich czule się obejmujących w kącie kanapy, w salonie nikogo nie było.

Zwiedziłem cały statek, który kabin pojedyńczych, jako statek spacerowy nie posiadał, lecz mej nieznajomej o włosach ze złota weneckiego nie odnalazłem.

Wtedy przyłączył się do mnie przyjaciel mój, zapytania dając, co moich tak natarczywych poszukiwań gwałtownie poczętych przyczyną było, a kiedym mu powiedział, że odszukać pragnę kobietę w sukni jasno-szarej, która obok nas przeszła, zapewniał mnie, że nikt obok nas nie przechodził, i zapewne tylko wydało mi się to.

A kiedym się żachnął podrażniony, zaproponował mi z flegmą wśród Niemców nabytą, abym stanął przy debarkaderze, kiedy statek opróżniać się będzie, gdyż dalej nie szedł a zawracał do Konstancji i w taki sposób najłatwiej znajomą odszukać będzie można.

A właśnie do wyspy cudnej Majnan zbliżaliśmy się i koła statku wolniejszym ruchem obracać się poczęły.

A kiedy sznury i liny ze statku rzucono i do pali wielkich przymocowano, a koła spokojnie i nieruchomo zamarły w obrotach, przy wązkim mostku stanąłem tuż, pilnie w twarz każdego z podróżnych spoglądając.

I wszyscy wyszli, a ja mej nieznajomej o włosach ze złota weneckiego nie znalazłem.

Więc pod pozorem zapomnianej laski na pokład powróciłem i majtków o kobietę w jasno-szarej sukni pytałem, lecz nikt nie widział jej, a jak mi powiedziano, na statku prócz kapitana i maszynisty nie było już nikogo.



Portret panny K. *Bolesław Szańkowski.*

W roztargnieniu patrzyłem na cudne barwy i odmiany róż i laurów i najrzadszych palm, zachwytów przyjaciela mego biernie słuchając, dziwnem uczuciem mając serce ściśnione, jakby żalu niewytłumaczonego, jakiegoś smutku dalekiego bólu w przyszłości zapowiedzią, a zarazem subtelnej pieszczoty i rozkoszy...

A fale błękitno-topazowe jeziora o brzeg skalisty łasząc się trącały, i coś cicho, a niezrozumiale szeptały, czego treść pojąć ucho me daremne czyniło wysiłki...

A słońce zasuwało się już za wysoki brzeg zielonością bujną winnic i ogrodów okryty szczelnie, i wieczór nadchodził.

— — — — — — — — — —

III.

I znów była jesień...

Stojąc na wielkim granitu złomie miałem, prawie prostopadle u stóp mych otwartą, wielką, modrą, w zadziwieniu chłodnem i dziecinnem patrzącą w niebo źrenicę „Oka Morskiego“.

Nieruchomo zupełnie taflą rozesłało się wśród skalnych opraw, wydłużając się cokolwiek i leciutko drgając tam, gdzie z wysoka wsączała się weń siklawa przejrzysta wód stalowych „Czarnego Stawu“.

Ciemną zielenią w stronie ku dolinie obsiadły brzeg kosodrzewiny, i limby stały samotne. I złociły się w powietrzu przejrzystem zamarłe, jakby potoki, ze szczytów wyschłemi łożyskami strumieni zlewające się rumowiska zdradzieckich piargów, które stopą

ruszone pełzać poczynały jak żywe skręty potwornego gada, ciągnąc w przepaście nieostrożnego turystę.

I może dlatego, że w powietrzu rozlane były nastroje nieuchwytne w subtelności swej, a jednak tak mocno działające na cały duszy stan nerwów człowieka, smutnej królowej roku pór-jesieni, — było mi dziwnie tęskno i jakoś rzewnie na duszy.

I tak na głazie granitowym stojąc, marzyłem o czemś nieokreślonem i nieuchwytnem, tak, jakbym przed otwartym fortepjanem siedząc leciuchno klawisze różne po kolei naciskał, szukając, aby sama przez się melodja się złożyła, która może już gdzieś w głębi istoty mej powstawała, lecz nie przechodząc do centrum świadomości, bezwiednie w nerwy palców spływała...

I marząc tak o czemś nie wytłumaczenie błękitnem, myślałem również, że przyroda może najpiękniejszą jest w tych swoich przejawach, w których najmniej logiczną bywa, jak oto w tych naprzykład bezcelowych nagromadzeniach granitowych szczytów zwalnych, turni i krzesanic.

I znów o czemś dalej błękitnie marzyłem, zlekka oczy, w zachwycie mrużąc—kiedym najwyraźniej uczuł delikatny zapach werweny, jakby chmurką ulotną unoszony, otaczający mą głowę.

I dopiero po chwili do uszów mych doszły słowa wyraźne doktora pewnego z Zakopanego, który za mną w towarzystwie jednego pana podążał, jak do głazu, na którym stałem, zbliżając się coś mówił towarzyszowi swemu, i parę razy słowo „werwena“ powtórzył.

Więc poznałem, że zapach, który najwyraźniej uczułem, był tylko mirażem, kojarzeniem się pojęć słuchowych ze zmysłem powonienia wywołanym, kiedym słowo „werwena“—kwiatu ulubionego usłyszał.

Więc chciałem spytać doktora, co o werwenach mówił? i zwróciłem się ku zbliżającym się z dołu, kiedy nagle uczułem, że ślizgam się i tracę równowagę i nadarmo wysiłkiem całego ciała podeszwy butów w oślizgłą powierzchnię granitu wszczepiam.

W sekundzie pewnej usłyszałem krzyk doktora, i tuż przed oczami samymi, blisko o parę cali, blisko jak nigdy, ujrzałem szare cielsko głazu, gdzieniegdzie mchem okryte, czarnemi plamami i rdzą i spękane, jakby nitką pajęczą porysowane.

„Spadłem“! błysnęła mi myśl raptowna w głowie.

„Za chwilę o krzemienie ostre roztrzaskany, spocznę“—myślałem w sekundzie tej, pełny jakiegoś wewnętrznego śmiechu. Powietrze dech mi w piersiach zaparło.

Słyszałem, jak trzaska, po głazach lecąc w dół, wypuszczona z rąk moja ciupaga.

Fioletowe koła przed oczami — czyjś śmiech i warkot—ogień w skroniach. Potem gwałtowny olbrzymi cios w czaszkę, i jakby mi poduszkę puchową na głowę rzucili, i ciemność.

Duszę się!... „Werweny...“ śmieje się coś we mnie ostatkiem gasnącego płomyka świadomości...

Noc mię głucha objęła płaszczem z aksamitu...

— — — — — — — — — —

Stałem oto w kącie wielkiej izby góralskiej, za sobą rzeźbiony z drzewa bukowego łyżnik piękny mając.

A na środku izby, której okna zasłonięte szczelnie były, stała trumna szeregami gromnic płonących otoczona.

I u wezgłowia na stoliku białą serwetą z płótna okrytym krucyfiks był w drzewie rzeźbiony, parę świec w drewnianych również rzeźbionych lichtarzach, które znałem dobrze, bom je gdzieś często widywał przez czas dłuższy.

Podłoga izby z desek sosnowych jasnych była jedliną usypana, a przed trumną osób parę klęczało.

I kiedym po wysiłkach długich mógł myśli przez chwilę na jednym przedmiocie zatrzymać, po czarnej brodzie poznałem w klęczącym znajomego doktora z Zakopanego.

Lecz znów w gromnice patrzyłem, ku którym wzrok mój siłą jakąś leniwie ciągnęło, a które paliły się żółtym płomieniem cicho potrzaskując czasem.

A kiedym tak na nie patrzył, widziałem wokół płomienia każdego fioletowo-rude kolisko, jakby otęczy smutnej.

Wtedy drzwi otworzono i weszli ludzie w czarnych ubiorach i za wielkich, niezgrabnie na głowach ich siedzących, czarnych kapeluszach, które pozdejmowali.

Blado dzień słoneczny się złocił poza drzwiami otwartymi ciemnego pokoju.

Ludzie—rząd gromnic, których promienie prąd powietrza poruszał, unosząc dymki smoliste, odstawiać poczęli.

I trumnę otwarto.

I ujrzałem w niej umarłego twarz zastygłą, o rysach ściągniętych, jak z wosku żółtego, na poły przezroczystego.

A skroń lewa była owinięta grubo bandażem i watą, na której czarno widniały zakrzepłej krwi plamy...

A kiedym tak patrzył w ciekawości głupiej i bezmyślnej, ktoś ręki mojej dotknął, i ujrzałem przed sobą złoto weneckie włosów i szaro-liliowe jakby przez mgłę gazy oczy patrzące, i bladą woń werweny uczułem.

I wtedy Ona od sukni bukiet kwiatów werweny odpinając, rzekła mi cicho:

„Oto przyszłam, którąś mię po dwakroć w życiu widział i w płatkach białych kwiecia ukochał, aby z tobą razem na trumnę twoją tę położyć wiązankę Werweny...“

I tak słów Jej słuchałem dziwnem uczuciem mając serce ściśnione, jakby żalu niewytłumaczonego, jakiegoś smutku dalekiego bólu w przyszłości zapowiedzią, a zarazem subtelnej pieszczoty i rozkoszy...

I pojąłem, że byłem na własnym moim pogrzebie.

STANISŁAW MORGULEC.

Kijów.

DWIE SCENKI.

I. Rozmowa w lesie.

Ja.

Witajcie, ojcze! Cóż to, za leśnego
Was postawiono?

Leśny.

Tak, na stare lata.

Ja.

Gdzież syn? Wszak on tu za leśnego służył?

Leśny.

We Włoszech gdzieś—lokajem u hrabiego.

Ja.

I co za szmaty tu dźwigacie? Radło?

Leśny.

Ha, płachty! Tom u dziewcząt poodbierał.

Ja.

Za dziewczętami jeszcze uganiacie?

Leśny.

Nie z dobrej woli. Pańska służba—mus.

Ja.

Cóż to za pańska służba, co wymaga
Za dziewczętami biegać?

Leśny.

Widać, synu,
Żeś dawno już nie bywał tutaj we wsi,
Rządca dla włościan zamknął las zupełnie, —
Pamiętasz, z dawna bydło tu pasali,
A teraz niema gdzie raz popaść, niema
U biedniejszego czem nakarmić bydła,
A w lesie trawy—widzisz sam, do pasa!
Aż gną się, szemrzą, niby same się
Pod sierpy proszą. Nu, to idą ciągiem
Kobiety, dziewki, do lasu ukradkiem,
Nażnie tę płachtę, ma na cały dzień.

Ja.

A tak, rozumiem. No, a wy w tej służbie
Podpatrujecie, płachty odbieracie?

Leśny.

Tak. Cóż mam robić? Zabroniono chłopom
Do lasu—ani krokiem, ani okiem!

Ja.

A wasza ręka się podnosi—z biednych
Tych płachty zdzierać za burzanu garść?

Leśny.

Podnosi się, nieboże! Pańska służba—mus.
Podnosi się ona ręka, tylko serce
Coś kurczy, synu, i we śnie mi czasem
Przysłyszy się ich płacz.
A rządca...

Ja.

We dworze siedzi?

Leśny.

Nie, nie siedzi. Teraz
On na folwarku za wsią.

Ja.

A dwór pusty?
Czy może oczekuje na hrabiego?

Leśny.

Nie, nikt nie czeka. Mówią, hrabia chory.
Pisał mi Maksym. Był już trochę zdrowszy
Przeszłego roku, ale jakieś licho
Poniosło go gdzieś tam. Jest takie, mówią...
Miasteczko, gdzie panowie wciąż grywają
W karty, czy w kości. Skorciało hrabiego.
I za godzinę przepucował czysto
Wszystkie pieniądze, nawet bryczkę z końmi.
Był by tam może cały swój majątek
Zostawił, ale dał mu Bóg na szczęście,
Że mu na mózg coś uderzyło. Upadł
Jak trup na miejscu. I już jak martwego
Wynieśli go. Ale mój Maksym żywo
Rzucił się, coś mu zrobił tam po swemu,
Bo służąc przy nim był już obeznany
Z hrabiowską tą chorobą. Nu, tam zaraz
Lekarza .. i hrabiego ocucono.
Pisał mi syn, że w jego obecności
Hrabiemu lekarz mówił: „Gdyby nie ten
Hrabiowski sługa, był by panu koniec"

Ja

Pewnie odwdzięczy się synowi hrabia?

Leśny.

Gdzie tam odwdzięczyć się! Czy mu to w głowie!
Pisał mi Maksym, że kiedy hrabiemu
To mówił lekarz, hrabia tylko nosem
Pokręcił, potem bąknął: „No, tak, tak".

Ja.

I nie zamierza powracać do domu?

Leśny.

Kto go tam wie! Tylko nam przysłał tutaj
Jakąś pomanę. Szliście koło dworu?

Ja.

Toć szedłem.

Leśny.

I nie słyszeliście wrzasku?

Ja.

Nie, nie słyszałem.

Leśny.

No, to pewnie spała.

Ja.

Któż ona?

Leśny.

Gdyby to ja wiedział, albo
Kto inny! Takie cosić, niby ptak,
A niby ryba, ni żona, ni panna,
I gada, gada wciąż nie po naszemu.
Świerczy jak makolągwa, piszczy, śpiewa
I w dłonie klaszcze, wszędzie biega, skacze,
Wszystkiemu się dziwuje, raz zapłacze,
To znowu śmieje się. Takie to małe,
Wątłe, że zdaje się, wziął byś na jedną
Dłoń, a drugą byś nakrył. Mimo to
Wszędzie jej pełno. Dwór i gumna, sad,
Szpichlerz i karczmę, wszystko to nawiedzi,
Wszystkiem ciekawi się, zaczepi też każdego.
Słowem pomana, a nie Francuzica!

Ja.

Któż ona? Czego tutaj przyjechała?

Leśny.

Pytaj ty mnie, ja będę pytał ciebie.
Ferwalterowa, co z nią po francusku
Rozmawia, tyle tylko powiedziała:
„A Bóg ją tam zmiarkować może, nie ja"!
Ale do ferwaltera pisał hrabia
I do starosty w mieście, by oględnie
Postępowano z nią, przykrości
Jej żadnych nie robiono, bo jest chora
A chciała by odświeżyć tu swe zdrowie.
Ta gdzie tam chora! Istne żywe srebro!
Powiadam ci — p o m a n a Francuzica!
A zajdź też kiedy — tak, bez ceremonji!
Rozmówisz się z nią — strach, jak lubi gadać!
Dość nasze baby są tumanowate,
A z niemi nawet piąte przez dziesiąte,
Kalecząc słowa, rozmawiać próbuje,
Znakami tu i owdzie dopełniając.
Pójdź! Wiem, że będzie rada, no i tobie
Nie będzie nudno tak, jak w twej chałupie.

Ja.

Toć mnie nie nudno tutaj, a z pomaną,
Jakieście ją nazwali, co mam gadać?

Leśny.

Przyjdź, przyjdź! A zresztą, ja jej sam o tobie
Powiem, to ani się spodziewasz, jaką
Ci zrobi niespodziankę. Przyjdzie sama
Do ciebie Jej jak strzeli co do głowy,
To w jeden mig wykonać to gotowa.
Powiadam ci, pomana—Francuzica!

II. We dworze.

Zobaczyłem ją też — nie w ogródku zielonym
I nie w szumnym salonie, ni w kwietniku czerwonym,
Ni w kompanji pań, panów, ni w brzęku muzyki, —
Śród siepaczy bab usłyszałem jej krzyki.

Koło dworu na gumnie dwaj polowi bawili —
Chłopskie bydło ci właśnie z pańskiej trawy spędzili
I zagnali we dwór, a za nimi w te tropy
Ze wsi zbiegły się baby i dziewki i chłopy.
Krzyk i hałas i szum.
Klną polowi jak wściekli,
Pędzą bydło, żeby je do stajen zawlekli,
Potrącają kobiety, biją w twarz dziewczęta,
A te płaczą, padają i mrużą oczęta.

Wtem jak bomba ze dworu młoda pani wleciała,
W jasnej sukni, w prawicy parasolkę trzymała,
Wiejską modą w dwie kosy miała włosy splecione,
Ale miotła podwórz długiej sukni ogonem.

„Que c'est que ça? Que c'est que ça? Co za gwałt tu stała się?
Mais pourquoi? Fi, dziewcząt! Czy nie wstyd ci, Panasie?
Mais c'est tâche! C'est affreux! Nie trącajże ich tam!
No, laissez! O mon Dieu! Mais pourquoi? C'est infame"!

Krzycząc, płacząc polowych dzielnie wstrzymywała,
Parasolką ich bijąc od kobiet odpędzała.
A ci, niby te wilki, co od ścierwa ich gonią!
Warczą: „Precz, pani, precz! Co ci troszczyć się o nią"?

„Mais comment? Battre les femmes! Czego płaczą tak one?
Za coż bydło zajęte? Czemu bramy zamknione?
Laissez les! Nie chcę tu słuchać tych płaczów i łez.
Do hrabiego napiszę. Qu'on les laisse! Qu'on les laisse!"
„Ah, quel peuple, o mon Dieu! Mais c'est insupportable!
Et ils souffrent tout cela, ils inclinent, pauvres diables!
No, allez! No, allez! Ne baise pas! To mi rzecz!
Laissez les! Bramę tam otwórz im! Puszczaj precz!"

I przystąpił polowy: „Narobiło tam szkody
Bydło ich!" — „W gębę bić dziewcząt! Fi, taki młody!
C'est brutal! C'est infame! Nons allons! Pójdę z wami.
Gdzie ta szkoda? Venons! Oglądniemy to sami".

Wtem i mnie zobaczyła „Qui êtes vous? Un étudiant?
Venez donc! Venez donc z nami tam, na ten łan!
Ah, quel peuple! quel pays! Comprenez vous français?"

I już serce me całe było jej. C'est assez.

IWAN FRANKO.

Lwów.

(Drukowano po ukraińsku w zbiorku „Iz dniw żurbi", wydanym we Lwowie w r. 1900. Przekładu na język polski dokonałem d. 20 kwietnia 1914 r.)





RANEK WIOSENNY.

Do sadu szedłem. Bowiem jest to pora,
kiedy na starej, zmęczonej jabłoni
do życia nowe się zbudziły kwiaty.
Do sadu szedłem, jako do znachora,
jeno zapłaty nie trzymając w dłoni,
bom ja ubogi jest, a on bogaty.
Aromatyczne niech mnie leczą zioła!
Żywiczne niech mnie uzdrawiają soki!
Wiosenne niech mnie orzeźwia powietrze!
a dusza moja stanie się wesoła,
władzę nademną stracą złe uroki
i Pan z mych oczu łzy żalu obetrze.
Do sadu szedłem wiosennego ranka,
pełnemi piersi wciągając zapachy,
co się po gęstej snuły atmosferze...
Lecz się przedemną zjawiła kochanka,
co od lat dawnych przynosi mi strachy,
sowy, skorpiony, węże, nietoperze.
Więc rzekłem do niej, pełen wielkiej troski:
„Ty, niegdyś moja, stracona na zawsze,
mglista już maro, gdy wieczorem zasnę,
patrz! Złote strzały ciska Phebus boski,
ziemia jest młodsza, niebiosa łaskawsze,
kwiaty tak pachną, wszystko jest tak jasne!
W letnie południe—przez złociste zboże,
w jesienny wieczór—przez dzwoniące deszcze
i w noc zimową—przez białą zawieję
chodziłaś do mnie, bolesny upiorze;
więc po cóż dzisiaj chcesz mnie męczyć jeszcze,
gdy młodem życiem wiatr wiosenny wieje?“
I otom spojrzał na tę postać ciemną,
co bladą twarzą i cichemi skargi
młodość mą wiecznie na uwięzi trzyma;
piękna, jak nigdy, dziś stała przedemną,
wpół rozchyliwszy purpurowe wargi,
falując piersią i błyszcząc oczyma.—
Podeszła cicho... i pierś swą gorącą
do ust mych czułą przytuliła dłonią,
—i cała była od słońca rozgrzana—
i otom poczuł, że się myśli mącą,
że mi świąteczne dzwony w sercu dzwonią
i żem uzdrowion został łaską Pana.
Bowiem ma taką moc wiosenny ranek,
że pokarm dają upiory kochanek!

R. LUBIEWA.

Kijów.

Kilka słów o futuryzmie.

(Dokończenie).

Malarstwo futurystyczne dąży do wyrażenia za pomocą pędzla—dźwięków, wrzawy, zapachów, t. j. dziedzin dotąd obcych sztuce plastycznej. W całej przeszłości nie ma przykładu, by kto malując takie temata, jak kwiaty, burza, pokusił się na odtworzenie farbami zapachu tych kwiatów, lub dźwięków towarzyszących burzy... Ponieważ dźwięk, zapach są różną szybkością wibracji molekuł, więc każde z ich wrażeń, następujące jedne po drugiem, drukuje w naszym mózgu arabeski kształtu i koloru... Każdy więc dźwięk i zapach przyjmuje kształt linji i barwę; każda linja i barwa mają odpowiadające im akordy muzyczne... Malarze-futurzyści, chcąc namalować teatr, dworzec, garaż, dają w farbach i linjach walor dźwięków i wrzawy, jaka napełnia te budynki...

Co do formy, są, według nich, dźwięki i zapachy trójkątne, eliptyczne, spiralne, cylindryczne, sferyczne. Co do koloru, mamy dźwięki i zapachy żółte, zielone, indygo, niebieskie i fioletowe... Dworce kolei, garaże, świat sportowy i mechaniczny — mają zapachy i dźwięki zwykle czerwone; restauracje, kawiarnie, salony—srebrzyste, żółte i fioletowe; dźwięki zwierząt są żółte; głos i zapach kobiety są zawsze zielone, niebieskie i fioletowe...

Malarstwo futurystyczne odrzuca wszelkie kolory stłumione, szare, odrzuca linje poziomą i pionową, jako martwe, kąt prosty, kwadrat, piramidę; tożsamość czasu i miejsca natomiast przyjmuje kolory czerwone, które krzyczą—wszystkie kolory radości, kształt kątu ostrego, który nazywa się kątem woli, kształt elipsy, linji zygzagowatej i falistej, sfery.

Co do rzeźby, której głównym przedstawicielem jest Umberto Boccioni, to tu teorje futurzystów przedstawiają się jeszcze bardziej ekscentrycznie.

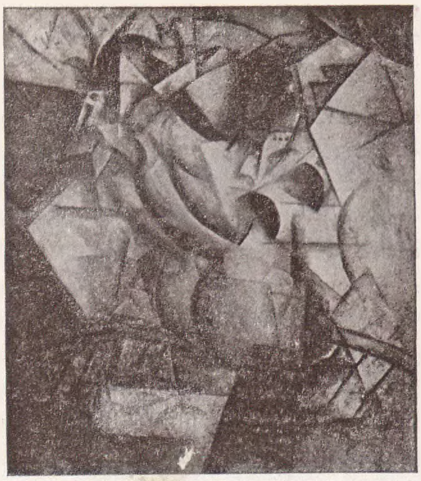
Pomimo to jednak, sądzę, że nie należy bezwzględnie potępiać tego ruchu, gdyż każde bezwzględne potępianie jakiegoś nowego objawu życia, czy to w sztuce, czy w literaturze, jest jednostronne. Każdy ruch, choć jaknajbłędniej pojęty, „ma tę jedną wielką wartość, że budzi z zastoju, każe myśleć i krytykować...“

Trudno dziś orzec, czy poza tą jedną dobrą stroną, futuryzm wniesie do sztuki coś, mającego dla niej rzeczywistą wartość, czy ukaże nowe horyzonty, pogłębi i rozszerzy drogę, jak to zrobił impresjonizm. Teorje futurystyczne zbyt ekscentrycznie wyglądają w zastosowaniu praktycznem, zbyt wiele w nich jest sztucznej, rozumowej konstrukcji.



Boccioni. Synteza dynamizmu ludzkiego.

Nowe są również teorje futuryzmu, zastosowane w muzyce i lite-



Carrà. Formy dynamiczne ciała ludzkiego.

raturze. Muzyka dawnych czasów pieści ucho tonami czystemi i harmonijnemi; dziś sztuka muzyczna dąży do wytworzenia dysonansów, przybliżamy się więc — dowodzą futurzyści—do tak nazwanego dźwięku-wrzawy („son-bruit"). Ta ewolucja w muzyce ku dźwiękowi-wrzawie jest możliwa tylko dziś dzięki temu, że życie obecne jest bogate we wrzawę różnego rodzaju, którą daje wielkie miasto i zwiększająca się liczba i złożoność maszyn. Wrzawa odróżnia się od dźwięku tem, że ma wibracje zmieszane i nieregularne. Każda wrzawa ma jednak ton dominujący. Otóż muzyka futurystyczna dąży do różnego kombinowania tego dźwięku-wrzawy. Za pomocą tych tonów chcą oni wyrazić duszę tłumu, duszę fabryk, pociągów, samochodów, aeroplanów...

Nie mniej wielkie zmiany chcą futurzyści wprowadzić do literatury:—odrzucają naprzykład zupełnie dotychczasową składnię, pozostawiając swobodę umieszczania rzeczowników w porządku dowolnym. Każą używać czasownika głównie w czasie nieokreślonym, by nie wprowadzać w opowiadanie osoby autora; dążą do absolutnego nieużywania przymiotnika, zastępując go drugim rzeczownikiem; odrzucają znaki pisarskie, wprowadzając w miejsce nich znaki matematyczne. Książka Marinetti'ego „Bataille de Tripolis" pisana jest w ten sposób. Teorje swe zastosowywali futurzyści dotychczas głównie w poezji, której twórcą, a zarazem największą siłą, jest sam Marinetti. „Tylko w ten sposób pisana poezja — mówi on — ma siłę i życie, inna jest martwa i blada..."

W literaturze—mówią futurzyści—trzeba strzedz się przypisywać materji uczucia ludzkie, a raczej starać się trzeba odnaleźć duszę materji: „Chcemy dać literaturze życie motoru, tej nowej bestji, której instynkt i duszę poznamy, gdy znać będziemy siły, składające się na jej całość; trzeba wsłuchać się we wrzawę motoru i odtworzyć to, co nam opowiedział. W ten sposób damy ogólne linje psychologji materji, gdyż ta psychologja jest dziś wplątana w nasze życie i ma wpływ na nie..."

Wszyscy ci, którzy używają telefonów, motocykli, automobili, aeroplanów, nie myślą o tem, że wszystko to wywiera ogromny, decydujący wpływ na ich umysły; życie teraz idzie szybkiem tempem—szybkość zmniejszyła obszar ziemi. Przodkowie nasi, by rozszerzyć swój pogląd na życie, musieli się dowiadywać, co robili i myśleli ich dziadowie; dziś nam to niepotrzebne(?!), gdyż wystarczy wiedzieć, co robią wszyscy nasi współcześni na całej kuli ziemskiej...

Co do wydawnictwa książek, to i w formie druku chcą oni zaprowadzić zmiany: naprzykład słowa silne, wyrażające gwałtowne uczucia, mają być drukowane większemi i grubszemi czcionkami, lekkie i przemijające—małemi; na jednej i tej samej stronicy może być kilka kolorów druku.

Obydwa odczyty, które futurzyści urządzili niedawno we Florencji, ściągnęły masę publiczności. Pierwszy odczyt, który przeszedł spokojnie w małej salce, dla „kieszeniowo-wybranych", miał Marinetti; mówił o poezji futurystycznej. Drugi, w jednym z większych teatrów Florencji, na którym kilku futurzystów miało mówić kolejno o malarstwie, literaturze i muzyce futurystycznej — był ciekawy z tego względu, że dawał pojęcie o stosunku szerszej publiczności florenckiej do ruchu futurystycznego i wykazywał w całej pełni gwałtowny charakter niewdzięcznych słuchaczy, jakimi okazali się florentczycy.

Na kwadrans przed odczytem sala była tak przepełniona, że nietylko parter i loże zajęte, ale i wszystkie przejścia; przy drzwiach do sali—cały oddział policji. Z trudnością przedostałam się do swego krzesła, w pierwszej chwili ogłuszona gwizdaniem i wyciem, rozlegającem się w całym teatrze—to manifestacja antyfuturystyczna. Punkt dziewiąta ukazali się na sali prelegenci: poeci Marinetti Cangiullo; malarze: Boccioni, Carra, Soffici; folozofowie: Papini (jeden z najzdolniejszych ludzi w tem stowarzyszeniu), Tarolato. Piekielny wrzask i wycie—z ich ukazaniem się—zwiększa się. Marinetti dostaje kartoflem w głowę i na scenę zaczynają lecieć różne warzywa, pomarańcze, jaja; z jednej z lóż sypią się na scenę kwiaty—czerwone goździki i białe chryzantemy. Futurzyści dzielnie stoją wśród tego bombardowania. O 10-ej godz. na pomoc chrypnącym głosom manifestantów w dwu lożach zaczynają grać syreny automobilowe, dzielnie akompanjując referentom do końca odczytu, który przeciągnął się do północy; poczem wszyscy jak najspokojniej rozeszli się.

Cały odczyt był później drukowany w „Lacerba", organie futurzystów, wychodzącym we Florencji.

Niektóre z wyżej przytoczonych poglądów futurzystów nie są pozbawione głębszej myśli; gorzej wyglądają w zastosowaniu praktycznem. Nie potępiajmy jednak bezwzględnie tego ruchu—powtarzam raz jeszcze—choćby nawet zdawał się on nam największym absurdem: czasem jakieś majaczenie najnielogiczniejsze, nieudana próba może pchnąć nas ku nowym myślom, ku nowym horyzontom. Stać na miejscu nie możemy i nie umiemy, bo to sprzeciwia się życiu. Idąc wciąż dalej, szukając nowych dróg, popełniamy omyłki—to zrozumiałe. Sądzić jednak sprawiedliwie można tylko przeszłość, gdy już ostatnie słowo zostało powiedziane.

MARJA SŁAWIŃSKA.

Florencja.

O MURY KARMELITAŃSKIE W BERDYCZOWIE.



Kościół N. M. P. w Berdyczowie.
Brama od ulicy.

Czem jest Ostra-Brama dla Litwy, Częstochowa dla Polski całej, tem dla Ukrainy i Wołynia jest pod względem religijno-narodowym kościół Najświętszej Marji Panny w Berdyczowie.

Szczególnie w smutnych naszych czasach i warunkach, dla tych dziesiątków tysięcy ludzi, co tam pielgrzymują corocznie, i dla tych serc i umysłów, co się tam zwracają, powodowani religijno-narodowem uczuciem, — znaczenie Świątyni Berdyczowskiej, mieszczącej skarb wielki, bo Cudowny Obraz Królowej stepów, —coraz bardziej urasta i potęguje się.

Kościół Berdyczowski — to przecie dawna pamiątka, sięgająca czasów walki z Tatarami i kozactwem, siedziba fundatora klasztoru, Janusza Tyszkiewicza, miejsce pobytu ks. Marka Puławskiego i tylu Ojców Karmelitów. To ostoja i twierdza tyloletnia polskości na kresach ukrainnych.

W r. 1909 został zorganizowany Komitet restauracji murów i kościoła berdyczowskiego. Praca restauracyjna jest w chwili obecnej na ukończeniu, odnowienie historycznej świątyni stanie się niedługo faktem dokonanym.

A całość, zaiste, wygląda imponująco!

Czerwono-brunatna miedź kopuł i dachów, szczerem złotem świecące krzyże, monstrancje i girlandy na strzelającej w niebiosa glorjecie i szczytach, koronki balkonów o rysunku prześlicznym (kompozycji p. Szyllera), kolosalne figury na szczycie i piękne wypukłorzeźby na froncie przedniej ściany kościoła—wszystko to razem, na jasnokawowem tle świeżych ścian,—sprawia tak głębokie wrażenie skończonej harmonji w linjach i w barwach, że serce widza ogarnia wzruszenie radośne, a duszę przepełnia gorąca skrucha wraz z czy-



Kościół N. M. P. w Berdyczowie.

stem uczuciem szlachetnej dumy, że oto przed nami przybytek Królowej Niebios i naszej Pani, wzniesiony sumptem naszych pradziadów, po upływie stuleci odnowiony naszemi rękami — na dalsze przez stulecia trwanie!

A gdy wzrok oderwiemy od wspaniałej świątyni, przykuwa go piękna wieża dzwoniczna, zgrabna i smukła, wysoka i strojna w lekkie balkony (kompozycji p. Jabłońskiego) i obfite kapitele—istne arcydzieło baroku.

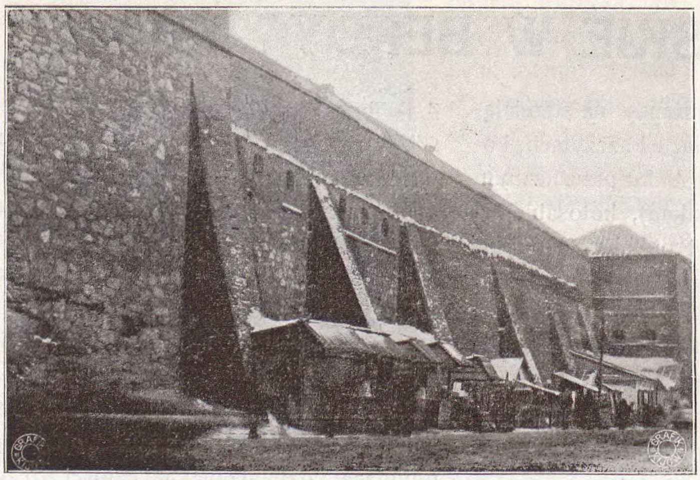
Pozostaje tylko zbudowanie nowego krużganku, łukiem schodów wiodącego z dwu stron dziedzińca do wnętrza kościoła. Krużganek będzie wykonany z kamienia szydłowieckiego i większa część wyciosanych w Warszawie składowych części jego balustrady, portalu i płyt już jest na miejscu. Nadto potrzebne są jeszcze drzwi żelazne do portalu, otwierającego drogę do podziemnego kościoła (którego wnętrze w roku zeszłym zostało odnowione gruntownie kosztem p. Julji Mazarakowej).

Poza tem, jest jeszcze jeden szczegół, rażący zmysł estetyczny, wobec imponującej i dziwnie pięknej całości. Szczegółem tym jest lewa wieża zegarowa, która była w r. 1864 wraz z budynkami klasztornymi odebrana i przez długie lata stanowiła wieżę obserwacyjną straży ogniowej. Przed kilkunastu laty wieża została zwróconą kościołowi i była odrestaurowana wówczas, ale z usunięciem balkonów i kapiteli, pokryta blachą żelazną i pomalowana w dwu kolorach—na żółto i biało. Obecnie, jakkolwiek wygląda ona dość schludnie, kłóci się jednak wyraźnie z charakterem jednolitym całej budowy i tak się różni od wieży dzwonicznej, że gdyby były środki, to należałoby koniecznie i ją odnowić na wzór uroczej siostrzycy.

Komitet restauracji przepięknej świątyni jest wszakże w chwili obecnej — bez funduszów. Do kasy Komitetu już od dawna nie napływają tak potrzebne zasiłki. Od bardzo dawna skarbnik Ko-



Kościół N. M. P. w Berdyczowie.
Brama wewnętrzna.



Kościół N. M. P. w Berdyczowie.
Mury obronne.



Kościół N. M. P. w Berdyczowie.
Komisja wykonawcza robót restauracyjnych na odnawianej wieży kościelnej.

mitetu przestał się chwalić nowemi wpływami, pomimo listów, rozsyłanych stale do najzamożniejszych w naszym kraju...

Brakuje w tej chwili 5000 rb., na roboty konieczne i niezbędne. Należy mieć nadzieję, że te pieniądze się znajdą, że popłyną ponownie ofiary, drobne i wielkie, do stóp ołtarzy Najświętszej Marji Panny.

Instytut Psychologiczny.

W początkach czerwca przypadnie nowe kulturalne święto w Warszawie: odbędzie się publiczna i uroczysta inauguracja Instytutu Psychologicznego, który już się zorganizował — głównie dzięki pomocy materjalnej szeroko znanego ziemianina podolskiego, p. Wiktora Skibniewskiego.

Należy nam zwrócić uwagę szerszej publiczności na tę godną instytucję.

Jest ona dziełem rozwoju nauki polskiej, etapem działalności wytrwałej i roztropnej, od lat dziewięciu prowadzonej. W roku 1905 powstało w Warszawie Towarzystwo Psychologiczne, do którego weszło kilkunastu psychologów, neurologów i psychiatrów. W lat kilka gromadka ta zorganizowała pierwszy zjazd w Warszawie, pod prezydencją d-ra Józefa Babińskiego, znakomitego paryskiego neurologa.

Odtąd Towarzystwo Psychologiczne poczuło się na twardym gruncie. Przeniosło się do pałacyku przy ul. Pięknej № 44, gdzie mogło rozgospodarować się wygodnie. Utworzono tu czytelnię, w której zgromadzono wszystkie wychodzące w europejskich językach pisma psychologiczne, neurologiczne i psychiatryczne, założono bibljotekę,—i wreszcie spełniono marzenie, od samego początku pieszczone: zaopatrzono się w pracownię psychologji doświadczalnej. Właściwie dwie pracownie stworzono od razu, a to dzięki ofiarności panny Józefy Tuhanowskiej, która sporą sumkę na ten cel złożyła. Pracownię neurologiczną oddano pod kierunek d-ra Flataua. Miała ona od początku swą autonomję i ostatnio przyjętą została pod opiekuńcze skrzydła Warszawskiego Towarzystwa Naukowego. Pracownię psychologiczną urządzono przy lokalu Towarzystwa Psychologicznego i oddano ją pod kierunek znakomitego polskiego uczonego, p. Edwarda Abramowskiego.



Wiktor Skibniewski.

Początkowe dzieło różnicowało się, specjalizowało, dzieliło wedle natury swych całości. Pracownia psychologiczna znalazła hojnego opiekuna w osobie pana Wiktora Skibniewskiego, właściciela Hołozubiniec, w gub. Podolskiej, który zawsze interesował się w głębszy sposób nauką i który na zjeździe psychologów czułem uchem wysłuchał dezyderatów naszych uczonych. Wzmógł on pracownię psychologiczną, w której praca mogła wskutek tego pójść systematyczniej i raźniej. Urosła ta pracownia w znaczeniu i w pożytku, aż postanowiono oddać ją pod skrzydła osobnej instytucji i odłączyć od macierzy: Towarzystwa Psychologicznego. Utworzono więc specjalnie dla psychologów Towarzystwo osobne, zatwierdzone niedawno pod nazwą Instytutu Psychologicznego w Warszawie. P. Wiktor Skibniewski został jego kuratorem, dr. Gajkiewicz prezesem. Otóż ten to Instytut za parę miesięcy, na początku letniego sezonu, zaprosi całą Polskę na uroczyste otwarcie swych podwoi.

Jubileusz satyryka.

Od lat dwudziestu najpopularniejszem pismem humorystycznem w Polsce jest „Mucha“ warszawska, a jej najwybitniejszym pisarzem i współredaktorem—Antoni Orłowski (Krogulec).

Szeroka publiczność mało dotąd wiedziała, kto rozweselał ją co tydzień przepysznemi „Listami Połusztannikowa“, kto rzucał mocne wstępne wiersze satyryczne w popularnym organie warszawskim, kto wreszcie bawił śmiechem — niekiedy przez łzy — a więc śmiechem o głębszej wartości.

Dzisiaj cały ogół w Polsce już wie, że tym humorystą i satyrykiem jest Antoni Orłowski. Albowiem w dniu

2 maja n. st., w Towarzystwie Literatów i Dziennikarzy Polskich w Warszawie, odbył się uroczysty obchód



Antoni Orłowski.

25-letniej pracy literackiej wybornego satyryka.

Antoni Orłowski — jak słusznie zaznaczył „Świat“ — otrzymał od natury dwa cenne dary: humor skoncentrowany i wiersz rozlewny. Urodził się więc na humorystę.

Można powiedzieć, iż Antoni Orłowski stworzył u nas polityczną satyrę. Robił to dowcipnym, poprawnym, często oryginalnym, zwykle ciętym wierszem,—i bardzo charakterystyczną prozą, sięgającą nie raz poza moment dziennikarstwa i pretensje do literackiej twórczości uzasadniającą. Takie listy Połusztannikowa, takie gawędy Kalasantego, lub pamiętnik Antka Cwaniaka, to jest znacznie coś więcej, aniżeli cięta humorystyka; to są studja psychologiczne, to jest tworzenie postaci, przesadnych zapewne, ale przesadnych w kierunku owych charakterystycznych, najbardziej wewnętrznych właściwości. Tą drogą powstają w literaturze—typy.

Na jubileusz Antoniego Orłowskiego nadeszło mnóstwo telegramów z różnych stron kraju. Między innymi, winszowali świetnemu humoryście: Henryk Sienkiewicz, Franciszek Rawita - Gawroński, Adam Krechowiecki i redakcja „Kłosów Ukraińskich“.

▫ ▫ ▫

M. Sałtykow-Szczedrin

(1889—1914).

W dniu 28 kwietnia r. b. upłynęło 25 lat od zgonu znakomitego pisarza rosyjskiego, Sałtykowa-Szczedrina. Autor szeregu powieści satyrycznych, przez długie lata stylem ciętym i nawskroś oryginalnym bezlitośnie smagał i biczował współczesne mu społeczeństwo. Najlepszy jego romans satyryczny p. t. „Gaspada Gołowlewy“ należy do prawdziwych arcydzieł literatury wszechświatowej.

Był Szczedrin—pisze W. Jabłonowski — niemiłosiernie cierpkim i gryzącym do kości we wszelkich wypadkach, zarówno gdy mówił o wadach i przewinieniach oficjalnych, jak i samego społeczeństwa, gdy smagał oprawców, bądź litował się nad ofiarami. Nie przebaczał nikomu. Był wszechstronnym satyrykiem rzeczywistości rosyjskiej: wszystkich stawiał przed kratkami sądowemi, zarówno przedstawicieli władzy i biurokratów, jak i sfery społeczne, konserwatystów, bądź liberałów, feodałów, bądź „raznoczyńców“. I wszyscy—podług niego—byli winni, wszyscy brali plagi aż do krwi, wszyscy budzili odrazę bądź wzgardę litościwą — równą wstrętowi. Biurokrację znał i przenikał do szpiku kości, więc w utworach swoich rozstrzygał zagadkę psychologiczną biurokracji rosyjskiej; tak zwanych „liberałów“, chociaż znał już wówczas niejedną ich odmianę, raczej przeczuwał. Zresztą, w gruncie rzeczy, obydwie te kategorje zbliżał ku sobie, umieszczał po obu stronach jednego medalu.



M. Sałtykow-Szczedrin.

Jako współpracownik „Otieczestw. Zapisek“, a później współredaktor „Sowremiennika“, pisał także Szczedrin dużo artykułów publicystycznych, przy czem w latach 1860—3 odzywał się o Polakach z życzliwością. Kochał literaturę i zawód literata ponad wszystko, porzuciwszy dla niego stanowiska urzędowe (vice-gubernatora i prezesa izby skarbowej).

▫ ▫ ▫



D-r Iwan Franko.

O przedstawicielu kultury ukraińskiej.

Urodzony w roku 1856-ym w wiosce galicyjskiej Nagujewiczach, w rodzinie włościańskiej, jest dr. Iwan Franko głównym i najznakomitszym współczesnym przedstawicielem kultury ukraińskiej. Ukończył bazyliańską szkolę normalną w Drohobyczu, następnie uczęszczał do Uniwersytetu lwowskiego, którego jednak na razie nie ukończył, gdyż wskutek denuncjacji znanego działacza moskalofilskiego Płoszczańskiego (późniejszego cenzora w Wilnie), został w roku 1877-ym uwięziony za „agitację ukraińską“ i „chłopomaństwo“. Uniwersytet ukończył dopiero po latach piętnastu i w roku 1894-ym otrzymał stopień doktorski.

Iwan Franko w swoich bardzo licznych utworach literackich staje zawsze w obronie uciśnionych, maluje życie nędzarzy, wydziedziczonych, wykolejonych i upadłych. Jego powieść „Na dnie“, wydana w roku 1880-ym, cieszyła się olbrzymiem powodzeniem i przetłumaczona została na kilka języków. Kierunek wszakże demokratyczny, „naturalistyczny“ i „radykalny“ przysparzał mu wielu wrogów i niechętnych w sferach konserwatywnych, z drugiej zaś strony brak szowinizmu narodowościowego i wyższy poziom kulturalny—nie zadawalniał narodowców. Ze wszystkiemi partjami polityczno-społecznemi w Galicji był więc Iwan Franko prawie zawsze w niezgodzie, szczególniej zaś walczył w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia z nacjonalistami ukraińskimi, zgrupowanymi około „Prawdy“.

W roku 1895-ym senat akademicki Uniwersytetu lwowskiego powołał Iwana Frankę na katedrę literatury staroruskiej i rusińskiej. Ponieważ wszakże kandydat na profesora trzykrotnie w swem życiu siedział w więzieniu za „nieprawomyślność polityczną“, przeto ówczesny

namiestnik Galicji, Kazimierz hr. Badeni, wyboru tego nie zatwierdził. Iwan Franko pozostał nadal tylko literatem, bardzo ciężko walczącym o kawałek chleba dla siebie i rodziny. Dopiero przed kilku laty, byt materjalny znakomitego pisarza został zabezpieczony, a to dzięki prof. Hruszewskiemu, który powierzył France redakcję „Literaturno-Naukowowo Wystnyka“, najpoważniejszego organu ukraińskiego, wydawanego we Lwowie przez Towarzystwo im Szewczenki.

Iwan Franko—to człowiek niepospolitych zasług dla odrodzenia narodowego Ukraińców. On to, gnębiony zawodami i troską o chleb powszedni—tworzył im przez czas długi prawie sam literaturę, nawiązując do dawnej tradycji Szewczenki i Kulisza.

Z poetów polskich, jak słusznie zaznacza P. Mączewski, przypomina nieco Kasprowicza, chociaż jest odeń zupełnie niezależny. Podobieństwo tkwi w pokrewnej linji rozwoju. Zaczyna Franko od haseł społecznych („Więzienne sonety“, „Kamieniarze“), uprawia potem wszystkie rodzaje liryki, dramat i nowelistykę, aż w r. 1905 przemawia najsilniej w pięknym poemacie „Mojżesz“, w którym przezwycięża potężny nurt pesymizmu i zwątpienia, podmywający ukraińską literaturę, i daje bodajże jedyny wśród ruskich poetów silny, pełny wyraz samowiedzy narodowej i patrjotycznej nadziei.

Od Szewczenki do Franki uczyniła poezja ukraińska ogromny postęp, bo nietylko melodyjnością słów, nietylko liryzmem i nastrojem porywa — ale idzie wyżej po szczeblach nowożytnego samookreślenia i świadomego celów patrjotyzmu. Poezję Franki cechuje przy tem gruntowna wiedza i kulturalne pojmowanie idei politycznej.

Odnośnie do Polaków miał Iwan Franko zawsze życzliwość i szacunek dla polskiej kultury. Na stosunki rusińsko-polskie zapatrywał się nieraz niechętnie ze stanowiska socjalnego, lecz dążył jednocześnie do porozumienia się pod względem narodowym i politycznym. Pisząc mnóstwo dzieł beletrystycznych, publicystycznych i historyczno filologicznych w języku ukraińskim, pisywał także dużo po polsku i był stałym współpracownikiem wielu gazet i wydawnictw polskich. Przed laty dwudziestu liczne korespondencje swoje i bardzo piękne nowele zamieszczał, między innemi, w „Kraju“ petersburskim.

W epoce od roku 1874 do 1914-go wyszło kilka zbiorków poezji Iwana Franki, że wyliczymy tu: „Pański żarty“, „Z werszyn i nyzyn“, „Iz dniw żurbi“. Z tego ostatniego właśnie zbiorku wyjął Iwan Franko „Dwie scenki“, przetłumaczył je na język polski i nadesłał „Kłosom Ukraińskim“, wraz z serdecznym listem i dobremi dla naszego pisma życzeniami.

▫ ▫ ▫

NASZE STRATY.



Władysław hr. Branicki.

W dniu 12 kwietnia n. st. zmarł w Nicei ś. p. Władysław hr. Branicki, syn ś. p. hr. Aleksandra i Anny z Hołyńskich, właściciel Stawiszcz pod Białą Cerkwią, znany w kraju filantrop i niepospolitych zasług obywatel. Wsród sfer, w których wyrósł, stanowił jeden z nielicznych wyjątków — unikał starannie zaszczytów, brzydził się pochlebstwem, był surowym dla siebie, a wyrozumiałym i pobłażliwym dla wszystkich, szczególnie dla podwładnych i maluczkich.

Miłość ziemi ojczystej—jak pięknie pisał o zmarłym szan. p. Roman Rogiński — zespolił z miłością duszy ludu ukraińskiego. Znał i odczuwał nie tylko piękno kraju, ale także poezję języka i barwność stroju. Dlatego chętnie się posługiwał mową ukraińską, a świta kozacka była ulubionym jego ubiorem.

Dziś lud ten, być może, nie zdaje sobie sprawy z ogromu straty, jaką poniósł. Ale z czasem pamięć po zmarłym w sercu jego powstanie i pójdzie, jako legenda o „Dobrym Hrafie“, z pokolenia w pokolenie.

Ojcowiznę swą, nadwątloną burzą 63-go roku, pracą i zagospodarowaniem, przy pomocy szczerze mu oddanych współpracowników, nie tylko uratował od zagłady, ale doprowadził do porządku i wysokiej kultury. Broniąc jej całości, by przekazać dzieciom, —jednocześnie spełniał swe obowiązki społeczne, i niósł hojną pomoc przedewszystkiem kształcącej się młodzieży. To też dziś trudno zliczyć tych wszystkich, którzy wychowanie i wykształcenie swe zawdzięczają ofiarności ś. p. hr. Władysława.

W ostatnich czasach rozbrzmiewała w naszej prasie polemika o arystokracji. Gdyby wśród naszych magnatów było więcej ludzi podobnych do ś. p. Wł. Branickiego, nastąpiłaby piękna harmonja pomiędzy klasą przodującą majątkowo a sferami mniej zamożnemi.

Zmarły pozostawił w nieutulonym żalu dostojną i kochającą małżonkę hrabinę Julję, znaną z szlachetnej duszy. Potrafi ona umiejętnie i z korzyścią dla kraju dalej prowadzić zaczęte przez ś. p. męża dzieło, w czem dopomogą jej godnie zięciowie i cztery córki zamężne: ks. Zdzisławowa Lubomirska, hr. Henrykowa Potocka, hr. Juljuszowa Tarnowska i hr. Benedyktowa Tyszkiewiczowa.

Śmierć hr. Władysława Branickiego jest dla społeczeństwa na Rusi stratą wielką, więc powszechny wzbudziła żal.

Tomasz Zawadyński.

W dniu 12 kwietnia st. st. zmarł w Białej Cerkwi, w skromnym dworku nad Rosią, jeden z zasłużonych i dzielnych synów Ukrainy, ś. p. Tomasz Zawadyński, literat i dziejopis, gorący patrjota polski, przyjaciel młodzieży kresowej i ludu ukraińskiego.



Ś. p. Tomasz Zawadyński urodził się w Kijowszczyźnie w roku 1838-ym, z ojca Wiktora, porucznika artylerji b. wojsk polskich, i Tekli z Konarskich, synowicy jenerała artylerji Tomasza Konarskiego.

Z patrjarchalnego domu rodziców, z tradycji ideałów rodzinnych, wyniósł gorące umiłowanie kraju i wszystkiego, co najświętsze, najwznioślejsze—ofiarność i poświęcenie. Nauki gimnazjalne ukończył w Niemirowie, uniwersyteckie—w Kijowie w 1861 r. Brał żywy udział w tajnym ruchu studentów kijowskich z owych lat, i należał do pokolenia, które marzyło wówczas o dokonaniu przymierza między społeczeństwem polskiem a ludem ukraińskim, na podstawie przeszłości i wspólnej ciężkiej doli. W roku 1863-im wyjechał za pasportem do Galicji, skąd dostaje się do obozu Langiewicza, jako jeden z jego adjutantów. Ku końcowi powstania, zapomniany na pikiecie przez resztkę swego oddziału, przemarznięty i chory, zabrany był z pola walki przez właścicieli zamku w Olesku, którzy go pielęgnowali do wyzdrowienia. Wysłany następnie do Paryża,

do Hôtel Lambert, należał do misji dyplomatycznej w Konstantynopolu.

Rok 1864 zastaje ś. p. Zawadyńskiego we Włoszech, wśród rzeszy emigranckiej. Do tych czasów odnoszą się jego pierwsze próby pióra. Pracuje we francuskich dziennikach, wychodzących we Włoszech. Oprócz tego, pisze dużo poezji lirycznych, z których wiele drukowały pisma warszawskie i lwowskie. Pisywał do „Dziennika Literackiego“, „Czasu“, „Biblioteki Warszawskiej“. Bezimiennie w Galicji wyszedł jego poemacik p. t. „Zwykłe dzieje“, opisujący losy powstańca.

Po powrocie z emigracji, rozpoczął ś. p. Tomasz Zawadyński ożywioną działalność literacką w Warszawie. Pisywał do ówczesnych „Kłosów“ pod redakcją Adama Pługa, do „Bluszczu“, „Niwy“ i t. d. W kijowskiem zbiorowem piśmie „Kwiaty i owoce“ umieścił nowelę „Przed ślubem“. Chciał się poświęcić wyłącznie pracy literackiej, do czego zachęcała go Marja Ilnicka i namawiał Leonard Sowiński. Ale śmierć ojca i zawikłane wskutek wypadków politycznych interesa majątkowe zmusiły go do wyrzeczenia się ukochanej służby literackiej i do powrotu na rolę. Z początku, z całym zapałem oddaje się obowiązkom rolniczo-gospodarskim, przyczem dom jego w Rzewusze, w powiecie skwirskim, otwiera gościnne podwoje braci literackiej. Nawiedzają go często i goszczą długo serdeczny druh jego po piórze i duchu Edward Rulikowski i znakomity historyk Aleksander Jabłonowski. Przed nimi snuje plany przyszłego swego dzieła, które było marzeniem jego życia —„Historji Rusi“. Lud rusiński znał na wskroś i kochał go gorąco. To też późniejsze zaostrzenie się stosunków rusko-polskich było dla niego powodem wielu zawodów i bólu.

Natura idealistyczna ś. p. Zawadyńskiego za mało miała w sobie zmysłu praktycznego, ażeby mogła sprostać ciężkiemu zadaniu ziemianina, pozostającego w wielce niesprzyjających warunkach.

Opłątany przez wierzycieli, musiał się wyzbyć ojcowizny. To mu złamało skrzydła na zawsze.

Los kazał mu przechodzić zwykłe gorzkie koleje człowieka, walczącego o byt codzienny. Pióro rzucił w zniechęceniu i długo nie chciał doń powrócić. Dopiero powstanie „Dziennika Kijowskiego“, a szczególnie „Kresów“, budzi w nim, już w starcu schorowanym, dawne marzenia i dążności. Zaczyna znów pisać, lecz zapałom i chęciom nie dorównywają siły fizyczne.

Z bólem konstatuje to sam, powtarzając nieraz, z nieopisanym smutkiem: „Zapóźno...“

Od dwu lat, nawiedzające go ciężkie choroby pozbawiły go zupełnie możności pracowania. Wciąż jednak otaczał się książkami, zakreślał potrzebne mu ustępy i marzył, że jeszcze Bóg mu pozwoli wykonać snujące się po głowie plany.

Żywot cały niemal — pisze p. W. J. w „Gazecie Warszawskiej“—spędził T. Zawadyński jakby na uboczu wartkich prądów naszego życia umysłowego, prawdziwie „nieznany“, chociaż wieczyście tęskniący do źródeł poezji, natchnienia, bytu narodowego.

Śmierć ducha na wiele lat poprzedziła zgon cielesny. Zmarł w Białej Cerkwi w 76 roku życia, troskliwie pielęgnowany od szeregu lat przez siostrzenicę swoją i siostrę p. Marję Dobrowolską, które z zaparciem się siebie czuwały nad złamaną duszą zacnego i nieszczęśliwego poety.

Nie spełnił zmarły nadziei, jakie mógł obudzić wśród swoich, gdy się zrywał do lotu twórczego, nie umiał pokierować łodzią swego żywota, nie rozwinął wartości, tkwiących bezsprzecznie w jego duchu bogatym, niemniej godzien jest serdecznego wspomnienia i cichej łzy żalu, która niejednemu z tych, co go znali, zaszkliła się w oku na wieść o jego śmierci.

Henryk Bobiński.

Muzyka polska w ogóle, a Konserwatorjum kijowskie w szczególności poniosło ciężką stratę. Oto zmarł, w pełni sił i roz-



woju, jeden z najwybitniejszych współczesnych kompozytorów polskich i jeden z najlepszych pianistów, ś. p. Henryk Bobiński.

Urodzony w Warszawie w r. 1862, już w latach pacholęcych objawiał wielką skłonność do muzyki, zarówno w kierunku kompozytorskim, jak i wirtuozowskim. Kierując się radami muzyków fachowych, rodzice oddali go do Konserwatorjum warszawskiego, które ukończył z odznaczeniem w dwudziestym roku życia. Jednocześnie ze studjami w zakresie gry fortepianowej, pracował młody Bobiński pod kierunkiem Noskowskiego nad kontrapunktem i teorją kompozycji. Mimo wiek młody, zaraz po pierwszych występach na estradzie koncertowej, powołano go na profesora fortepianu w Konserwatorjum krakowskiem. Ztąd robił wycieczki do Wiednia, gdzie pracował czas pewien pod kierunkiem Leszetyckiego i występował też w koncertach z wielkiem powodzeniem.

Z Krakowa przeniósł się Bobiński do Moskwy. Po otrzymaniu dyplomu pierwszego stopnia w Konserwatorjum moskiewskiem, objął w niem klasę fortepianu, a w trzy lata później Konserwatorjum w Kijowie powołało go na profesora wyższej klasy fortepianu.

Na tem stanowisku trwał z górą lat dziesięć.

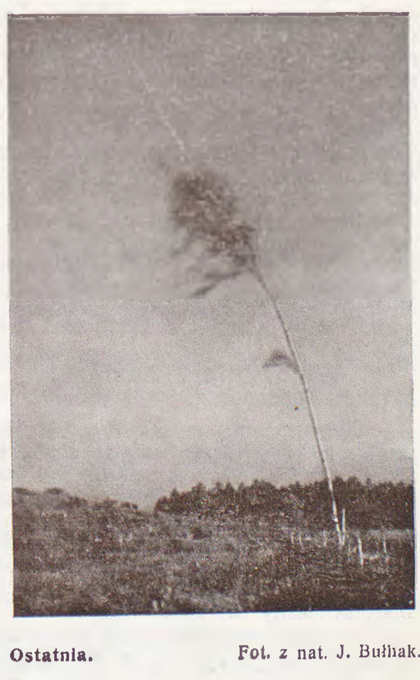
Jako pianista, odznaczał się Bobiński dużą siłą tonu, wielkiem poczuciem muzykalnem i niepospolitą sprawnością techniczną. Zajęty mozolną pracą pedagogiczną, występował z koncertami dość rzadko, zawsze jednak z powodzeniem zupełnem. Dla tej samej przyczyny zaniedbywał, z konieczności, i pracę twórczą. A posiadał w tym kierunku talent znaczny. W swych kompozycjach nie zawsze objawiał oryginalność wybitną, nie zbywało mu wszakże ani na fantazji twórczej, ani na pięknych pomysłach i dobrej robocie technicznej. Utworzył kilka preludjów, parę etiud i wiele drobnych utworów z działu muzyki salonowej, oraz dwa dużej wartości koncerty na fortepian z towarzyszeniem orkiestry: E-mol i A-mol. Oba, w doskonałej utrzymane formie, posiadają piękne tematy, ożywienie rytmiczne i wiele ładnych pomysłów instrumentacyjnych.

Ś. p. Henryk Bobiński zmarł w Warszawie, dokąd wyjechał był przed rokiem, złamany ciężką i nieuleczalną chorobą. Pochowano go na cmentarzu Powązkowskim.

Wśród kolegów i uczniów pozostawił Bobiński pamięć nietylko utalentowanego i zamiłowanego w swej sztuce artysty, ale i zacnego człowieka.

Gdyby nie ciężkie warunki bytu, gdyby nie warunki kijowskie, obniżające lot twórczy — byłby Bobiński w sztuce kompozytorskiej polskiej stanął bardzo wysoko. Ale i to, co stworzył, pozostanie piękną i niezapomnianą kartą.

□ □ □



Ostatnia. Fot. z nat. J. Bułhak.

Zgon działaczy ukraińskich.



Konstanty Michalczuk.

W dniu 7 kwietnia r. b. zmarł w Kijowie ś. p. Konstanty Michalczuk, uczony ukraiński i wybitny działacz narodowy.

Należał on przed pięćdziesięciu kilku laty do grona tej młodzieży uniwersyteckiej w Kijowie, która, aczkolwiek w polskiej wychowana kulturze, oddzieliła się od gmin Ogółu akademickiego i stworzyła własną Hromadę. Było to pierwsze hasło samoistności i odrębności narodu ruskiego, rzucone w środowisko młodzieży akademickiej. Studenci wyrzekają się dotychczasowego programu „podnoszenia ludu“ i sami wchodzą w skład jego — przyjmują mowę ludu, zwyczaje, obyczaje, strój, — stają się chłopami. Poza tem, młodzież ta nie chce nic wiedzieć o zespoleniach państwowych, o wspólnej z Koroną i Litwą akcji politycznej — za cel swój uważa tylko pracę z ludem i dla ludu, resztę pozostawiając Opatrzności.

Inicjatorem Hromady, która się utworzyła w przededniu roku 1861-go, był zmarły Konstanty Michalczuk, a jego towarzyszami najbliższymi — Włodzimierz Antonowicz, Rylski, Poznański, Dragomanow i inni.

Późniejsza działalność Michalczuka uwydatniła się głównie na polu filologji. Stworzył on najlepszą klasyfikację narzeczy ruskich i jego prace w kierunku językoznawstwa ukraińskiego są dotąd podstawą dla wszystkich badaczy tego przedmiotu.

Michalczuk umarł w 74-ym roku życia. Chociaż miał wszelkie kwalifikacje na uczonego, przez długie lata, aż do końca życia, zajmował stanowisko buchaltera w browarze akcyjnym. Był „uczonym bez parafji“, jak dowcipnie powiedział o nim jeden z kolegów. W życiu społeczno-narodowem Ukraińców, jako gorący patryota, grał Michalczuk zawsze rolę bardzo wybitną.

Włodzimierz Łoziński.

D. 25-go marca, po przebytej operacji chirurgicznej w Wiedniu, rozstał się z tym światem w 59 roku życia znany w Kijowie działacz społeczny ś.p. Włodzimierz Łoziński.

Zmarły, urodzony na Podolu z matki Polki i ojca Ukraińca, po ukończeniu szkoły w Niemirowie, wstąpił do Petrowsko-Razumowskiej Akademji, a później ukończył Instytut leśny w Petersburgu.

Idee postępowe były nicią przewodnią w ciągu całego życia ś. p. Włodzimierza Łozińskiego. Początkowo pracował w leśnictwach rządowych, następnie wstąpił do zarządu dóbr Tereszczenki, gdzie w ciągu wielu lat pełnił obowiązki nadleśnego.

Zmarły był z urodzenia i przekonania Ukraińcem, przyczem odznaczał się niezwykłą tolerancją w stosunku do otoczenia, nawet najbliższego; pozwalał być każdemu samym sobą. Ożeniony z Polką, posługiwał się w rodzinie językiem polskim, co mu nie przeszkadzało być jednym z najgłówniejszych działaczów miejscowego ruchu ukraińskiego. Przed kilku laty, po ukazie



tolerancyjnym, przyjął protestantyzm. Był wzorowym ojcem rodziny i głębokiej zacności człowiekiem.

Wiele czynił w cichości i nie szukał z tego rozgłosu.

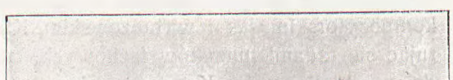
Zwłoki zmarłego przewiezione zostały do kraju i pochowane w Kijowie.

□ □ □

Sitkowce.

Zapoczątkowujemy niniejszem szereg opisów i widoków różnych miejscowości kraju, zasługujących na uwagę bądź ze wspomnień historycznych, bądź malowniczości swojego położenia.

Zbaczając z dawnego głównego szlaku, łączącego Kijowszczyznę z Podolem, począwszy od miasteczka Żorniszek, miejsca urodzenia generała Chłopickiego, dążąc przez Iljińce, Babin, po pod słynną mogiłę Sorokę, dalej przez Kalnik, Daszów, pamiętny z r. 1831, i brzegami Sobu do Hajsyna,—widzimy rzucającą się od razu w oczy zmianę warunków topograficznych.



Sitkowce. Brzeg stawu

Z lewej strony rzeki—równiny bezbrzeżne ukraińskie, ze swojemi mogiłami i krzyżami; z drugiej strony — teren nierówny, pokryty ongi niemal całkowicie lasami.

To dawne Województwo Bracławskie. Pomimo więc przynależności administracyjnej do gub. Kijowskiej, tej połaci kraju nie możemy nazwać inaczej, jak Podolem.

O wiorst 20 od Daszowa, na dzisiejszej granicy powiatów Lipowieckiego i Hajsyńskiego, szeroko rozsiadło się sioło, o cechach prawdziwie podolskich, posiadające krajobrazy warte zaznaczenia.

Wieś ta, położona w obrębie dawnych obszernych włości Szczęsnego Potockiego, pozostaje i obecnie we władaniu tegoż rodu, należąc do Ordynacji Teplicko-Sitkowieckiej, której fundatorką była ś. p. hrabina Aleksandryna Augustowa Potocka, znana filantropka. Obecny ordynat, Franciszek hr. Potocki, mieszka w Peczarze nad Bohem. W Sitkowcach egzystuje piękny kościołek katolicki i cukrownia, eksploatowana przez Towarzystwo akcyjne.

T. Osiński.

□ □ □

Z kroniki towarzyskiej.

D. 15 kwietnia odbył się w odeskim starym kościele ślub p. Antoniego Księżopolskiego, adwokata z Żytomierza, z p.



Janiną Gajewską, córką zaszczytnie na polu społecznego życia odeskiej polskiej kolonji znanego działacza, p. Antoniego Gajewskiego.

Obok przedstawicieli miejscowej Polonji, na gody weselne licznie stawiła się rodzina obojga młodych, przybywając z Królestwa Polskiego, z Podola i kresów ukraińskich.

Ciepłe, kojące uczucie zespolenia serc zgromadzonych—bodajby się stało szczytnym wzorem solidarnej jedności, tak bardzo dzisiaj pożądanej wśród rozproszonych w rozmaitych środowiskach Polaków.

□ □ □ *S.*

BOLESŁAW KOREYWO.

TE i TAMTE.

3)

Powieść.

Gdy znaleźli się w przedpokoju restauracji Rootsa i Marzyński chciał pomódz swej nieznajomej zdjąć wierzchnie okrycie, zwróciła się do niego szeptem, ze źle ukrywanem zniecierpliwieniem w głosie:

— Cóżeś to pan sfiksował? wszak na ogólnej sali być nie możemy. Idziemy do gabinetu...

Cofnął się pośpiesznie w głąb przedpokoju i, idąc obok milczącej teraz nieznajomej wązkim korytarzem, wiodącym do separatek restauracyjnych, gromił siebie w duszy za swą nieroztropność i brak przezorności.

Oczywiście należała do „towarzystwa", jeśli się nie chciała narażać na plotki i afiszować się spożywaniem kolacji na ogólnej sali restauracyjnej w nocy i w dodatku z nieznajomym mężczyzną...

— Lecz skądże u licha miałem wiedzieć, z kim mam do czynienia! — usprawiedliwiał się przed samym sobą. — Wreszcie i dotychczas nie wiem przecie, kim jest moja tajemnicza nieznajoma. Jeśli to nawet jakaś zaczarowana a przynajmniej zamaskowana księżniczka, to chyba bardziej obraziłbym ją zaproponowaniem separatki, niż najskromniejszą prośbą spożycia kolacji w mojem towarzystwie w ogólnej sali?...

Pocieszając się w ten sposób, czuł się jednak bardzo niewyraźnie i obawiał się, że swą niezręcznością zepsuł towarzyszce humor, przez co popsułby i sobie tak wesoło projektowane przed chwilą zakończenie dzisiejszej przygody..

Obawy jego pierzchły jednak niebawem, gdy się znaleźli sami w gabinecie.

Gdy po zadysponowaniu przez nich kolacji lokaj ulotnił się wreszcie, nieznajoma parsknęła śmiechem i, zbliżając się do Marzyńskiego, rzekła:

— Widzę, że jesteś pan nowicjuszem w przygodach maskaradowych!... Ja, kobieta, muszę uczyć pana!... Cha... cha... Ale chyba mamy dość tej tajemniczości, tem bardziej, że czuję się skrępowaną, nie wiedząc nazwiska osób będących w mem towarzystwie. A więc?...

— Adam Marzyński... student medycyny... — pospieszył wyrecytować z robioną powagą.

— Ślicznie: Adam i do tego student medycyny. Mam prawdziwe szczęście do tej szkaradnej medycyny. Wypadałoby mi nawzajem wylegitymować się przed panem. Ale... czy to nie obojętne dla pana, którego spotykam po raz pierwszy a może i ostatni, moje nazwisko, tem bardziej, że wkrótce je zmienię...

— Oj! oj! oj!...—uderzyła się kilkakrotnie ręką po ustach:— a to papla ze mnie!... Otóż wystarczy panu, jeśli mu powiem i nie skłamię, że na imię mi... Ewa. Widzi pan, jaki zbieg okoliczności: Adam i Ewa!... tylko nie w raju, lecz w separatce u Rootsa...— mówiła prędko, śmiejąc się, poczem zaczęła tańczyć wzdłuż gabinetu, nucąc walczyka z „Cnotliwej Zuzanny".

Marzyński czuł się dziwnie onieśmielonym. Z tego, co słyszał, mógł wywnioskować, że jest w towarzystwie cudzej narzeczonej. I to znów zaczęło mu bez wiadomego dlań powodu psuć humor. Stał zamyślony i podziwiał w tej chwili wesoły nastrój i swobodne zachowywanie się tej kobiety w separatce restauracyjnej, gdy on — mężczyzna—czuł się onieśmielony tą niewyraźną sytuacją, jaką zdawał się mu pobyt tu jego z czyjąś narzeczoną.

— Uf... gorąco... —przerwała jego zadumanie, padając na fotel. — Mój panie Adamie, proszę mi pomódz zdjąć domino i... nie rumienić się... pod domino mam suknię...—dodała filuternie.

Marzyńskiemu ręce się trzęsły, gdy niezgrabnie zaczął rozpinać haftki. Udało mu się wreszcie i... nie pożałował swej pracy. Gdy niebieska powłoka znalazła się w jego ręku, ujrzał tyle wdzięków, wyzierających z głęboko wyciętej sukni balowej, że wprost oniemiał z zachwytu i, patrząc na swą towarzyszkę, czuł, że mu krew uderza do głowy i że się rumieni jak dzieweczka.

Czekała go jeszcze milsza niespodzianka, bo oto panna Ewa, w chwili gdy zdejmował domino plecami doń odwrócona, zdjęła maskę i, patrząc nań przez ramię, zawołała śmiejąc się:

— Zamierzałam zachować incognito i nie odkrywać swej twarzy przed panem, lecz trudno... maska przeszkadzałaby mi jeść z apetytem kolację...

Przeszła obok niego, kołysząc zlekka biodrami, i usiadła na sofie.

Marzyński usiadł opodal i z nieukrywanym zachwytem wpatrzył się w zmysłowo-piękną twarz tej kobiety.

— Cóż to mój panicz tak oniemiał?...—spytała, odczuwając wyraźnie wrażenie, jakie jej uroda wywarła na Marzyńskim.—Jesteś pan w tej chwili więcej podobny do rozmodlonego apostoła, niż do skalanego grzechem ale silnego Adama. Taki baranek boży...—dodała pieszczotliwie, wyciągając dłoń i muskając nią zlekka brodę Marzyńskiego.

— Masz pan piękną i dziwnie miękką brodę...

Spojrzała przeciągle błyszczącemi namiętnie oczyma w jego rozmarzone niebieskie źrenice.

Nie mógł się powstrzymać i odruchowo przylgnął gorącemi wargami do jej dłoni i, jakby się usprawiedliwiając, bąknął zmieszany:

— Dziękuję za komplement...

Cofnęła swą dłoń, urażona, jak to wytłumaczył sobie, jego zbyt śmiałą poufałością i zamilkła, spuściwszy powieki.

W tej chwili, usłyszeli dyskretne pukanie do drzwi.

Wszedł lokaj.

— — — — — —

Gdy Marzyński, odwiózłszy pannę Ewę do jej mieszkania przy ulicy Bankowej, rozmarzony szampanem, który zdarzało się mu pić bardzo rzadko, wrócił do swego skromnego pokoiku studenckiego, jaki odnajmował w jednej z bardziej oddalonych dzielnic Kijowa, przez długich kilka godzin pozostawał jeszcze pod upojnym urokiem swej przygodnej znajomej.

Rozebrał się żwawo, lecz wlazłszy pod kołdrę i zamknąwszy oczy — nie mógł zasnąć. Widział wciąż przed so-

bą młody, falujący gors panny Ewy, dziewicze kształtne ramiona, lśniące jedwabistym złotawym puszkiem, śmiejące się i wabiące ku sobie usta i pałające południowym żarem czarne jej oczy.

Nie mogąc zasnąć, rozpamiętywał, chwilę po chwili, spędzony z tą kobietą wieczór i czuł się coraz bardziej winnym w stosunku do niej.

— On, — myślał z coraz większą pogardą dla samego siebie, — któremu ta cudna dziewczyna pozwoliła zaopiekować się sobą tego wieczora, a uważając go za człowieka uczciwego z tak powabną, siostrzaną niemal ufnością zgodziła się spędzić z nim parę godzin w tym przepojonym cynizmem gabinecie restauracyjnym i ufając jego uczciwości czuła się nawet swobodną i wesołą jak ptaszę, zapominając o tem, że jest w osławionej separatce i z obcym zupełnie dla niej mężczyzną, zmuszona była potem stale mieć się na baczności, aby nie poddać się przemocy dławiącej go wulkanicznie namiętności, prężącej ku niej pożądliwie jego ramiona i magnetycznie pociągającej jego usta ku jej dziewiczym wargom...

— Ach! jaki rozkoszny był ten pocałunek! — powiedział prawie głośno, przypominając chwilę, gdy, odurzony winem, a czując też jednocześnie i jej podniecenie, wgryzł się pałającemi wargami w jej drżące pieściwe usta

Natychmiast jednak zgromił siebie za ten okrzyk uznania:

— Tak... rozkoszny... Idjotą byłem w chwili, gdy mi przyszło na myśl tak brutalnie zbliżyć się do niej, zaledwie w godzinę po jej poznaniu, jak do kokoty jakiej. Zapewne nienawidzi mnie teraz!... Och! bo się natychmiast opamiętała i, spojrzawszy na niego wzrokiem spłoszonej sarny, odtrąciła go z całej siły od siebie. Doprowadziła go tem do równowagi. Odzyskał wtedy przytomność i na klęczkach błagał ją, aby mu wybaczyła to chwilowe zapomnienie się... Uśmiechnęła się jakoś smutnie, jak się uśmiecha pobłażliwa starsza siostra do wyznającego przed nią swoje winy brata, lecz pozostała już do końca smutna i milcząca.

Bez śladu znikła jej żywiołowa wesołość i powiał ku niemu od niej jakiś dziwny a tak przykry dla niego chłód, gdy, siląc się na uprzejmy uśmiech, uścisnęła lekko końcami palców dłoń jego, dziękując mu przy pożegnaniu za jego „rycerskość".

Tak, pamięta doskonale, że pożegnała go z ironicznym grymasikiem na ustach właśnie temi słowy: „Dziękuję panu za jego rycerskość".. i tylko.

— Miała za co dziękować! —gryzł się w dalszym ciągu, przewracając się na drugi bok i otulając się szczelnie kołdrą.

— I oto tak mile nawiązaną znajomość djabli wzięli .. Gdyby nie głupie moje zachowywanie się, może, kto wie, pozwoliłaby mi widywać się ze sobą częściej.. może... Chociaż, ona jest przecież cudzą narzeczoną... — uprzytomnił sobie w tej chwili w pamięci i przypomnienie to wżarło się w jego mózg podwójną rozpaczą.

— Właśnie, pięknie poczynałem z nią, wiedząc już, iż jest narzeczoną!... Czyż to, że mi zaufała, upoważniało mię do takiej chamskiej poufałości?... Cudza narzeczona... —myślał znów po chwili, lecz na ten raz myśli jego obrały jakiś odmienny, buntowniczy kierunek.

— A dlaczego nie moja? Czy nie mam prawa starać się o jej rękę, tylko dlatego, że jestem ubogim studentem?... lecz za dwa lata przecież będę miał w kieszeni dyplom lekarski, a wtenczas...

Ta myśl podziałała widocznie kojąco na jego rozbabrane sumienie, a wino i młodość zrobiły ostatecznie swoje— po chwili przestał mruczeć i kręcić się na swem łożu. Zasnął snem kamiennym.

— — — — — — — —

Jakże odmienne były w tym samym czasie myśli tej, której osoba tak boleśnie rozdrapała sumienie biednego studenta.

Panna Ewa, stojąc przed lustrem, odźwierciadlającym całą jej postać, okrytą tylko batystem koszuli, przeciągając się, jak rozleniwiona kotka, wyjmowała ze swych prawdziwie pięknych kruczych włosów dodatkowe, modne wówczas loki i, składając je na stole toaletowym, mniej więcej temi słowy odwzajemniała się wspomnieniom o niej Marzyńskiego:

— A to ci fircyk niepokalany! I taki idjota szuka rozrywki na balach maskowych!... Że też pozory tak często mylą: taki piękny, młody mężczyzna... taka mumja... Jaką głupią zrobił minę, gdy odtrąciłam go, niby oburzona jego śmiałością! Ale... umie całować...—dodała w myśli, oddając należny hołd słuszności.

— Był wtedy prawdziwie piękny! Jak rozkoszne miałabym zakończenie tego wieczoru, gdyby ten błazen... nie zbłaźnił się ostatecznie!... I dziwił się jeszcze, że jestem smutna

— Głupiec! Jakże wstrętny był wtedy, gdy, czołgając się u mych kolan, tak dziecinnie przepraszał mnie i błagał, abym nie była smutną!

— Cha!... cha!... smutną! Byłam zła, a nie smutna!... Mężczyzna!... Panie Boże odpuść!... Cóż to on czekał, abym sama...—przerwała bieg swych myśli, zauważywszy, że w swem szlachetnem oburzeniu dogalopowała się, aż do cynizmu.

Spojrzała z zadowoleniem na odźwierciadlenie swych jędrnych kształtów w lustrze i jeszcze raz powtórzyła:

— Głupiec...

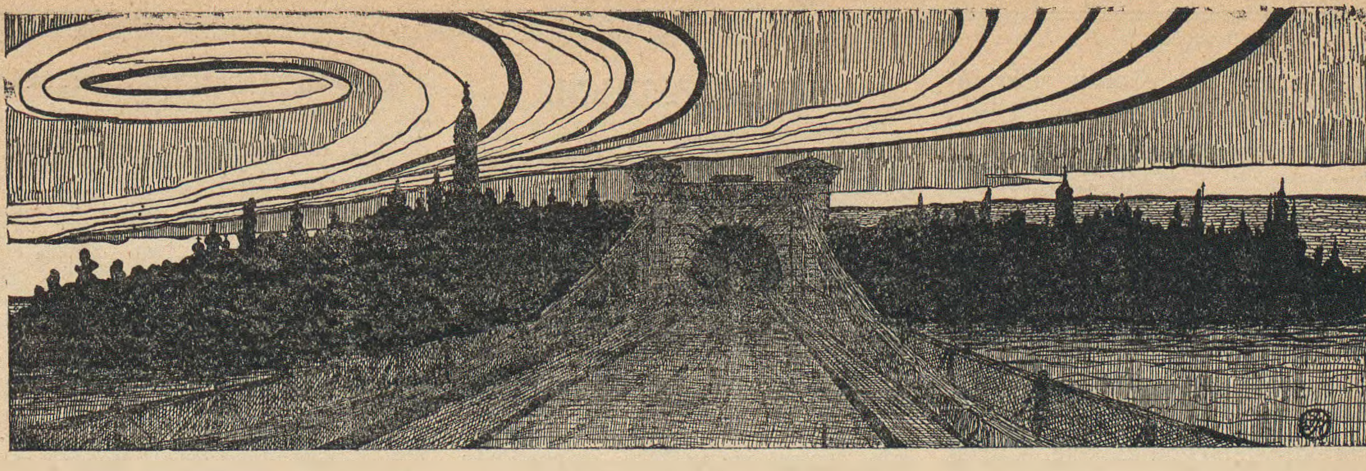
II.

Marzyński od kilku tygodni pędził życie ascetycznie nudne.

Za kilka dni upływał ostateczny termin zapisywania się na wykłady, on zaś, zawdzięczając nadprogramowemu a zbyt jak na jego kieszeń grubemu „puszczeniu się" w dzień Trzech Króli, przejadał oto już resztki pieniędzy, zebranych na wpis, a manna niebieska w postaci jakiejś kondycji lub pacjenta, chorego na ischias, neuralgję lub inną złotodajną dla p. o. masażystów, jakim był też Marzyński, chorobę, nie chciała spaść z nieba. Na dobitek złego, zamożniejsi koledzy, którzyby chętnie poratowali Marzyńskiego, znając jego pedantyczne przestrzeganie terminów w wypadkach zaciągania pożyczki, jakoś nie spieszyli się z przyjazdem do Kijowa.

DCN.





OD REDAKCJI.

Jednem z zadań naszego pisma jest odtwarzanie dawnych cennych pamiątek, rozsianych po ziemi ukraińskiej.

Prosimy przeto wszystkich Czytelników i Przyjaciół „Kłosów Ukraińskich“ o nadsyłanie nam obszernych opisów i monografji: miast, miasteczek, wsi, kościołów, pałaców, dworów i dworków, wraz z fotografjami.

Chętnie również pomieszczać będziemy kopje z cennych obrazów, znajdujących się w galerjach prywatnych, ryciny starych mebli, tkanin i różnych innych zabytków historycznych i artystycznych.

O łaskawą pomoc w tym względzie — uprzejmie wszystkich prosimy.

Numer niniejszy —podwójny—czyli 3-ci i 4-ty, wyszedł z opóźnieniem, za co najmocniej przepraszamy naszych Czytelników. Początki są jednak zawsze trudne, a warunki w Kijowie nie mogą się równać z warunkami warszawskimi czy krakowskimi.

Niebawem wychodzenie pisma uregulujemy—tymczasem prosimy uprzejmie o względność i cierpliwość.

Pro domo sua.

Możemy sobie powinszować — „Kłosy Ukraińskie“ zwróciły na siebie powszechną uwagę. Szczególniej z „tamtego brzegu“ dostrzeżono odrazu, że pismo nasze — to dokument istnienia i trwania kultury polskiej na Rusi. „Kijewlanin“ wystąpił z obszernymi, ale przynajmniej rzeczowymi artykułami polemicznymi, o których pomówimy jeszcze raz w przyszłości. A „Nowoje Wremia“ i „Moskowskija Wiedomosti“ zadzwoniły wprost na trwogę, „oskarżając“ nasze „Kłosy Ukraińskie“ i ich kierownika o „groźny sojusz“ z Ukrainą.

Nie pozostali w tyle i sami Ukraińcy. Szczególniej „Rada“ kijowska pisała o „Kłosach“ aż trzykrotnie. I największy, 500-wierszowy swój artykuł o nas, zakończyła sfinksową sentencją: „Pożywemo—pobaczymo...“

Nie spodziewaliśmy się, coprawda, innej oceny ani ze strony „nacjonalistów“ rosyjskich, ani ze strony „nacjonal-socjalistów“ ukraińskich.

Dla tych ostatnich piosenka o „demokratyzmie“ zaczyna się zawsze od chłopstwa i chamstwa i kończy na chłopstwie i chamstwie. A wszystko, co pachnie wielką i świetną kulturą wiekową, jest dla nich ideałem — „niezrozumyłym...“ Gdy członkowie redakcji „Rady“ pożyją trochę dłużej w środowisku budzącego się zaledwie własnego ruchu kulturalno-narodowego, to z pewnością przejrzą i bat'ce Szewczence nie każą się wspinać w baranim kożuszku, po nad górne i chmurne czoła Mickiewiczów i Słowackich— dla tego tylko, że „win mużik z rodu, kobzar' demokratycznoj, jak i win, Ukrainy...“ (№ 91) Tamci wprawdzie nie „mużyki“, ale ludzkość, dalibóg, po raz pierwszy od chłopomanów z „Rady“ dowiaduje się dopiero tej wielce nowej prawdy, że „mużik“ jest na świecie najwyższem z dostojeństw.

My, Polacy, w tej „nieszczęsnej“ pozycji, mamy wprawdzie jedno usprawiedliwienie — że i my także mamy „mużika“ w swych dziejach — czcigodnego, twórczego kmiecia, króla Piasta. Ale to było, ni mniej ni więcej, tylko lat temu tysiąc siedemdziesiąt i dwa! Ponieważ się dzisiaj żyje pośpieszniej, więc Ukraińcy z „Rady“ pewno szybciej od nas dojdą do świadomości, że najbardziej „demokratyczne“ i najmocniej „socjalistyczne“ idee wylęgły się nie w chłopskich mózgach, lecz właśnie w umysłach bardzo wysubtelnionych, wykształconych i wygimnastykowanych, które wchłonęły w siebie wysoką kulturę i głęboką wiedzę całego szeregu pokoleń.

Ale i takiej demagogicznej oceny ukraińskiej „Rady“ możemy sobie powinszować. Jesteśmy przez „Radę“ uważnie czytani. A z czytania rzeczy bezstronnych i życzliwych wyniknąć może — tylko pożytek.

W naszej dumie idziemy dalej. Oto dopięliśmy celu gdyż na cały

zeszyt niniejszy „Kłosów Ukraińskich“ złożyły się pióra, co z Ukrainą w najbliższym są związku... Roman Knoll, Ludwik Żmigrodzki, Stan. Morgulec, Marja Sławińska, R. Lubiewa, Bolesław Koreywo, Stan. Gliński, Cezary Popławski, Stan. Bronikowski, Tadeusz Osiński, Andrzej Porębski, Stefan Wolski—to wszystko ludzie w Kijowie zamieszkali, z Kijowem w najbliższym pozostający kontakcie. A dwaj szanowni nasi współpracownicy, pozornie dalecy i od brzegów Dniepru oderwani, Adam Krechowiecki i Franciszek Rawita-Gawroński, na Ukrainie są zrodzeni i tu wychowani. Przyłączył się do nich Iwan Franko, największy i najkulturalniejszy pisarz ruski, który swym współudziałem w „Kłosach Ukraińskich“ zaświadcza o braterstwie obu kultur. Z jednego przecież pnia wyrosły, na jednym gruncie, na tych samych stepach i łanach, tak samo przez nas jak przez nich ukochanych, tak samo im, jak i nam drogich, swojskich i rodzimych!

Ten liczny udział w piśmie sił miejscowych dowodem jest, iż Kijów nie przepadł bynajmniej dla polskiej kultury. Żywie w nim duch pragnień, żywie dużo uczuć i talentów — jest Kijów i dzisiaj, jak dawniej, miastem nawet literackiej kultury polskiej! Uwydatnienie tego objawu w „Kłosach Ukraińskich“—to nie tylko duma dla pisma, ale i duma dla kraju całego.

A przecież są jeszcze i inni miejscowi autorzy, których utwory nie wyszły dotąd z naszej teki redakcyjnej, lub którzy nie zdążyli dotąd nadesłać swych prac. Ukażą się i oni niebawem. I ważna placówka kulturalna—mamy nadzieję—rozstrzeli swe promienie szeroko.

I usłyszą o niej głośno i daleko, po za granicami nawet Ukrainy,— ci wszyscy, którym drogi jest rozwój i postęp polskich ideałów.

J. Ursyn.



ZIEMIA A DUCH.

Od pewnego czasu mnożą się obliczenia, których celem wykazać nasze siły materjalne na kresach i tym sposobem wzbudzić w nas wiarę w jutro. Cyfry obliczeń tych, gdy o stan posiadania polskiego chodzi, są jeszcze wcale piękne. Miljony dziesięcin ziemi pozostały w naszych rękach. „A kto ma ziemię, ten ma wszystko“—opiewa pogląd, aż nadto popularny na kresach. Niestety, w poglądzie tym jest tylko cząstka prawdy. Tą cząstką — fakt, iż ziemi wyzbywać się nie wolno, boć przedewszystkiem grunt pod nogami mieć trzeba... Grunt do działania na dziś i na przyszłość. Ale grunt pod nogami to nie wszystko... Jest wielu ludzi, którzy „gruntu“ owego mają bez liku, jednak całą istnością swą wiszą w powietrzu. Jest wielu innych, co ani z jednej dziesięciny nie mogą się wykazać — a życiem swojem ogólnej naszej sprawie służą. To nasuwa refleksje poważne, każe wielkie cyfry morgów i włók, jako dobro narodu, z niezmierną brać restrykcją. Te morgi, włóki, dziesięciny akurat tyle warte dla nas wszystkich, ile warci są ludzie, siedzący na nich po pałacach, dworach i dworkach, ile wart ludzi tych obywatelski, narodowy duch. I tu stajemy przed potrzebą innego obrachunku: bezstronnego i sprawiedliwego obrachunku sił i zasobów natury moralnej, któremi możemy się wykazać. Dobrych rolników, gorzelników, hodowców bydła holenderskiego, dobrych mienia własnego szafarzów, skrzętnych i sprytnych gospodarzy na miljonach polskich dziesięcin—na kresach jest niemało. Rzecz to bezwątpienia dodatnia. Ale od hodowcy bydła holenderskiego do obywatela użytecznego kraju, do Polaka, ba... do człowieka w całem tego słowa znaczeniu—daleko. To są kategorje całkiem różne. Obywateli kraju, celów swych świadomych, mniej u nas, niźli właścicieli ziemskich, mniej niż zapobiegliwych rolników, mniej nawet niż swe fortuny zwiększających... Od obywatela, w naszych warunkach szczególniej, czegoś więcej się żąda niż dorobku.

Bowiem cóż z zamożności, która egoistycznym służy tylko potrzebom, cóż z bogactwa zawartego w jednej kieszeni, a nawet w wołach, w osłach, w tem wszystkiem, co produkować można, co rozmnażać — jeśli wysiłkom, zwiększanie bogactw naszych mającym na celu, nie przyświeca daleko wyższy cel, od pragnień osobistych większy. Jeśli ziemi tej rękami i nogami trzymamy się tylko, lecz nie trzymamy się jej całą duszą. Zaś o świadomość duszy trudniej, niż o energję rąk, albo życiową zręczność.

Ani ten kto ma ziemię, ani ten kto ma fabrykę, czy oborę—na biegu losów naszych nie zaważy, jeśli nie będzie pragnął tego nadewszystko, jeśli z tą myślą nie będzie wstawał i nie będzie kładł się do snu codziennie.

Lichego egoizmu pełna jest ziemia nasza i na placówkach pracy gorzej się dzieje, niźli działo się ongi na rycerskich fortpocztach. Tam trzeba było walczyć, albo uciec i niesławą się okryć... Trzeciego nic nie było. Dziś można się maskować. Siedzieć w pałacu swoim lub we dworze, hodować stada, zawierać kontrakty, gospodarować, gadać głośno, z tupetem nawet, na zebraniach sąsiedzkich, pchać się na front, rozpierać, czasem cisnąć grosz jakiś głośno, efektownie—lecz w samej rzeczy żyć całem życiem dla siebie tylko, z myślą o własnem szczęściu i pożytku. I mieć wiele dziesięcin... a zaś zasług żadnych!

Z żywotów takich składa się nasza smutna księga dni naszych na tych kresach posępnych bo, pozbawionych pragnień ludzkich, śmiałych, szczerych, twórczych. Obszary całe są jeszcze w rękach naszych, a jednakże co dzień cofamy się tu zwolna. Stan posiadania fizyczny trwa, duchowy—maleje. I z pałaców i dworów ileż jest, ileż zostało jeszcze po dziś dzień strażnikami bytu naszego i rozwoju? Ile z nich do tej roli

dorosło?... Dorabiamy się... dziesięcinę jednak z tego dorobku sprawa wspólna otrzymuje zbyt skąpą. Kto może wykręca się od niej i kto może uchyla. Czynią to mniej i więcej mający. I oczy ich, w najbliższe wbite cele, rzadko obejmują widnokrąg szerszy ogólnych naszych walk i potrzeb. O potrzebach tych jakże często przypomina się bez skutku! „Czegóż żądacie od nas?“—odpowiadają ci, których się zbudzić pragnie... ,,Pracujemy...“ Ta odpowiedź wygodna rozbrzmiewa od pół wieku, a kryje się za nią to wszystko, co lenistwem jest, sobkostwem, albo naiwną bezmyślnością, kryje się za nią i to także, co kraj widzi pod kątem rodzinno-dynastycznych karjer i powodzeń... Pracują i zbogacają się, lub nie pracują i tracą... Ale dla społeczeństwa skutek stąd jeden prawie. Ich strata czy zysk na bycie wszystkich nie zaważą. Jeśli zaważą zaś, to raczej mechanicznie, nie ideowo, nie moralnie. Pracowników, oddanych sprawie wspólnej, ogół nie miał w nich bowiem. Treścią życia był im interes osobisty...

W myśl tego interesu orali, siali i zbierali, najczęściej kształtowali byt swój codzienny, w myśl tego kształcili dzieci i „zapewniali im przyszłość“, przyczyniając się co najwyżej do fizycznego trwania naszego na odwiecznym gruncie. Lecz trwanie to w tworzenie życia nowego, w rozdmuchiwanie popiołów zmienić czyż mogli?! Więc popieliskiem wielkiem została ziemia nasza jako była i przypomina wypalony las. Na popielisku tem przestronnem siedzą jeszcze i trwają niedobitki i „trzymają się ziemi...“ Sieją na niej i orzą... Ale iluż to z nich ma wciąż w myśli ten siew, który zapada w dusze ludzkie i w nich stokrotnym plonem wschodzi?! A zaś od tego siewu głównie zależy jutro nasze: straszne lub piękne. Siewców takich policzmy, nie dziesięciny ,,stanu posiadania“ tylko.

Wojciech Baranowski.

PRZEGLĄD PRASY POLSKIEJ.

My i polityka.

Świetne uwagi na temat specjalnych obowiązków, jakie spadają na każdego Polaka, wobec niezwykłych naszych warunków bytu, skreślił niedawno w „Dzienniku Kijowskim“ p. Joachim Bartoszewicz.

„Niejednokrotnie—pisze—słyszy się zdanie, że my, Polacy, do wszystkiego mieszamy politykę. Obcy, a szczególniej wrogowie nasi, wypominają nam to, jako błąd i jako zbrodnię. Ale i swoi nieraz na to wyrzekają.

Wyrzekają zwykle wtedy, kiedy im nieszczęsna polityka mąci harmonję wesołego dnia, psuje program nęcącej zabawy, kiedy dla innych przystępne radości i korzyści—stają się dla nas owocem zakazanym. Wiadomo, jak nęci owoc zakazany. W takich chwilach, kiedyby się Polakowi chciało żyć i używać, jak innym, przychodzą do głowy kuszące porywy zdjęcia zakazu, spożycia owocu... jeśli nie rajskiego, to powszedniego, zwykłego, przecież trucizny w sobie nie mającego. Bo, wreszcie, dla czego on jest zakazany, kto go zakazał?

I Polak, któremu się sprzykrzyło polskie podłe życie, rozumując dalej, przychodzi do łatwego i, zdawałoby się, logicznego wniosku, że polityka jest sobie polityką, ale sztuka jest sztuką, handel jest handlem, a buty są butami. Co mają buty wspólnego z polityką? Jak można rozprawiać o krzywdach polskich, o godności narodowej o sprawie polskiej, à propos des bottes?

Gdybyż istotnie wystarczyło podobnego rozumowania na to, aby życie polskie od przymusów, zakazów, więzów, od polityki uwolnić! Niestety—tak nie jest.

Gdybyśmy spróbowali, bodaj na chwilę, zapomnieć o tem, że jesteśmy Polakami, rychło przypomną nam to inni. Przypomną nam, że my właśnie nie mamy prawa nosić butów, tak jak noszą inni.

Gdybyśmy chcieli, tak jak inne szczęśliwsze narody, nie myśleć o polityce wtedy, kiedy rzecz idzie o sprawy, tak zwane ogólno-ludzkie, jak religja, oświata, moralność, zdrowie, nauka, sztuka, toby nam o niej w dotkliwy nawet sposób przypomnieli inni.

Gdybyśmy nie poczuwali się w życiu codziennem do żadnych obowiązków natury ogólnej, politycznej, toby nam te obowiązki narzucili inni, ci sami,którzy nas za mieszanie do wszystkiego polityki w ostry sposób potępiają.

Proszę sobie przypomnieć tekst słynnego ukazu senatu o zamknięciu „Oświaty“ w Kijowie. Żywioł polski na Rusi uznany tam został za żywioł nie etnograficzny, ale polityczny. Znaczy to, że wszystko, co czynimy, oceniane będzie z punktu politycznego. Każdy krok nasz, każde zdanie, każde zachowanie się nabiera znaczenia politycznego. A ponieważ my nie mamy żadnego organu, któryby za całość był odpowiedzialny, któryby mógł uwolnić pojedyńcze grupy czy jednostki od ważenia swych zdań i kroków, przeto odpowiedzialność ogólna rozkłada się na wszystkich.

Taki stan rzeczy wkłada na nasze społeczeństwo ciężkie i trudne obowiązki. Wymaga on od nas specjalnej rozwagi, politycznego przewidywania, oceniania wszelkich możliwości i wszelkich skutków, jakieby wyniknąć mogły z czynów naszych, szczególniej gdy czyny te są wystąpieniami na zewnątrz.

I choćbyśmy nie wiem jak się od polityki odżegnywali, ciężyć ona nad nami nie przestanie i zabarwiać najzwyklejszych, codziennych przejawów naszego życia“.

Porachunki.

W ostatnich czasach w całej prasie polskiej toczy się znowu zażarta walka z Demokracją Narodową. Powodem do tej walki stała się broszura p. Romana Dmowskiego p. t. „Upadek myśli konserwatywnej“. Broszura zmobilizowała wszystkie obozy, a przedewszystkiem obóz Polityki Realnej.

Odpowiadając p. R. Dmowskiemu, tak pisał w „Słowie“ przedstawiciel naszych konserwatystów:

„Ażeby uniknąć wymyślań endeckich, jest tylko jeden sposób... ale straszny — trzeba zostać narodowym demokratą!“

Broszura, „upadek myśli konserwatywnej“ zwiastująca, ma charakter przedewszystkiem bojowy. Posiada też zapaszek specyficzny — próbuje demaskować... Zdaje się, że do obozu realistów wkroczyła nagle jakaś komisja śledcza i zagląda pod każdą ławę, szukając z góry skazanych już przestępców.

Skonstatowanie „upadku myśli konserwatywnej“ jest p. Romanowi Dmowskiemu w tej chwili na coś bardzo potrzebne. Nie ma już — powiada — „prawdziwych“ konserwatystów — i kwita!

O, jakże dawno niema już prawdziwych narodowych demokratów, co to mieli gorące głowy, ale i promienne serca!

Zamiast nich, są dziś zwykli nacjonaliści o typie silnie reakcyjnym. Reakcyjną jest Narodowa Demokracja obecna. Jest reakcyjna, bowiem duszę narodu bezwątpienia uwstecznia. Wpaja w nią przeświadczenie, iż tylko silny wart coś, ale siłę uczy pojmować najbrutalniej i tej siły gdzie można nadużywać. To ani mądre, ani nawet praktyczne... Nacjonalizm polski taki jest zresztą, jak wszystkie nacjonalizmy. Czy, kiedy obcym będąc z natury duchowi chrześcijańskiemu, dla celów politycznych jedynie na gruncie wyznaniowym staje; czy kiedy zawadjacko pokazuje pięść ludom, domagającym się praw równych; czy kiedy z duszy własnego narodu stara się wyprzeć cały dorobek kultury moralnej, emocjonalne budząc w nim popędy —

nacjonalizm jest zawsze apostołem politycznego wstecznictwa, nie zaś rozwoju i postępu. Jest to najgorsze przytem ze wszystkich wstecznictw, bo propagandą demagogiczną żyjące. Jako takie, nie może sympatyzować ono z czystym konserwatyzmem. Konserwatyzm, ów konserwatyzm światły, uczciwy, religijny, zdrowemu postępowi nie obcy, szczerze patrjotyczny, lecz i humanitarny zarazem — przy nacjonalizmie wygląda w samej rzeczy, jak gdyby jakaś grupa postępowa...“

„Były czasy, gdy Demokracja Narodowa zwalczała realistów na punkcie „ugody“... Te czasy należą do przeszłości. W tym kierunku w buńczucznej ongi partji nastąpiło nawrócenie zupełne. W kompromisach palmy pierwszeństwa Demokracji Narodowej nikt już dziś nie odbierze. Pod tym względem Stronnictwo Polityki Realnej zostało zdynstansowane najzupełniej...“

Bardzo namiętnie przeciw broszurze p. R. Dmowskiego wystąpiły także wszystkie pisma, prowadzone przez dawnych członków D. N., którzy odłączyli się od stronnictwa w latach 1908 — 1912-ym i pozostali przy dawnym programie narodowym. Ten — dodajmy — odłam istotnych demokratów-narodowych najboleśniej odczuł odchylenie się od programu dawnego swego wodza, pełnego zresztą energji i talentu, porwanego niszczycielskim prądem wstecznym, chaotycznych naszych stosunków i własnej ambicji. To jest powodem, że najzłośliwiej wyraziły się o dzisiejszem stanowisku Dmowskiego — lwowska „Rzeczpospolita“, warszawski „Tygodnik Polski“, „Strażnica“ i „Goniec Wieczorny“.

A bezpartyjne „Nowiny“ krakowskie tak piszą:

„Narodowa Demokracja, która w kraju propaguje wojnę przeciw wszystkim, ujrzała się teraz zaatakowaną przez wszystkich. Usłyszała tak ciężkie, a poparte dowodami oskarżenia, zarzucono jej takie przestępstwa przeciw kulturze narodowej, wykazano jej tyle szkód, jakie jej polityka narodowi wyrządziła, że porachunek ten nazwać trzeba gruntownym.

Przeciw metodzie, polegającej na sianiu społecznej i narodowej waśni, tworzy się z natury rzeczy koalicja wszystkich stronnictw, koalicja oparta nie na żadnych paktach i układach, lecz wynikająca z ogólnego uczucia obawy przed skutkami narodowo-demokratycznej działalności“.

Przeciw nienawiści.

W jednym z kwietniowych numerów „Dziennika Petersburskiego“ redaktor naczelny tego pisma, p. Aleksander Babiański, b. poseł, pomieścił artykuł, zasługujący na uwagę.

Dawne hasła i zasady, którym hołdowały poszczególne stronnictwa i kierunki polityczne w Posce, zostały przewartościowane; ich miejsce zabiera na razie jeszcze mgławicowa bezpartyjność polska, która jednak też wymaga pewnego sformułowania.

Potrzeba ukształtowania się w Polsce nowej orjentacji politycznej jest konieczną. Dowodzi tego najlepiej bojowa broszura p. R. Dmowskiego, która wszystkie stronnictwa i grupy polskie odsądza od prawomyślności narodowej, wszystkie nazywa szkodliwemi koterjami, i tylko Endecję uznaje za uprawomocnioną do „oczyszczania gruntu pod uczciwą uprawę polityczną...“

„Tymczasem w kierunku narodowo-demokratycznym — pisze p. A. Babiański — nie możemy się dopatrzeć czynników pracy twórczej pozytywnej, zarówno w dziedzinie społecznej, jak i w politycznej.

W tej ostatniej obserwujemy szereg kompromisów oportunistycznych od niezależności aż do najskrajniejszej ugodowości, a w dziedzinie społecznej obok demagogji przejawia się niejednokrotnie obrona interesów stanowych.

Główną charakterystyczną cechą kierunku D.-N. jest sianie waśni na zewnątrz i wewnątrz.

Zapowiada się walkę na wszystkie strony, — wewnątrz z klasą pracującą, wyznającą inne hasła polityczne, z kierunkami ludowymi i wreszcie z całą inteligencją; na zewnątrz walka z ludami pobratymczymi, z którymi od wieków żyjemy na jednej ziemi, wiąc walka z Ukraińcami, z Litwinami, z Białorusinami, z Żydami, nawet z Łotyszami.

Zdawało się na razie, że nowe hasło historyczne „Polska nierządem stoi“ chciano zastąpić przez nowe — „Polska nienawiścią stoi“.

Na szczęście, społeczeństwo polskie, w tej dzielnicy, która może sama stanowić o swoich losach, za tem hasłem nie poszło i wbrew kierunkom ND-ckim uchwaliło znaną ugodę z Rusinami, jedyny jasny moment w obecnej dobie politycznej, moment niewątpliwie płodny w dalsze skutki.

W tym kierunku jedyne zdrowe ziarno — to podniesienie skali uczucia narodowego i wynikającej stąd odporności narodowo-kulturalnej. Taką mamy przeszłość i teraźniejszość“.

▫ ▫ ▫

Z ŻYCIA UKRAIŃSKIEGO.

Z powodu rezolucji o języku ukraińskim.

Wskutek rozporządzenia kijowskiego okręgu naukowego, otrzymał dymisję nauczyciel historji w gimnazjum żeńskiem pani Żekulinej w Kijowie, p. W. Prokopowicz. Jednocześnie uwolniono p. W. Prokopowicza od obowiązków nauczyciela historji w gimnazjum męzkiem „Grupy Rodziców“.

Powodem wydalenia pana P. był jego referet p. t.: „Szkoła ludowa i język ojczysty na Ukrainie“, złożony na I Wszechrosyjskim Zjeździe nauczycieli ludowych w Petersburgu. Na tym Zjeździe p. W. Prokopowicz był delegatem "Towarzystwa wzajemnej pomocy nauczycieli i uczniów szkół początkowych w gub. Kijowskiej“.

Na skutek referatu p. Prokopowicza, sekcja „szkół inorodczych“ uchwaliła rezolucje następujące:

1) Niezbędnem jest, ażeby w szkołach ogólnych i zawodowych, w miejscowościach z ludnością ukraińską, wykład wszystkich przedmiotów odbywał się w języku ukraińskim.

2) Wykład języka rosyjskiego, jako przedmiotu obowiązującego, powinien się zaczynać w trzecim roku nauki i powinien być postawiony na odpowiedniej wysokości, bez służenia jednak celom postronnym.

3) Niezbędnem jest wprowadzenie wykładów języka ukraińskiego, historji i geografji kraju.

4) Podręczniki szkolne w swej treści powinny być zastosowane do warunków życia ludności.

Referat p. W. Prokopowicza i jego wystąpienie w sekcji uznane zostało przez okręg naukowy kijowski za „niezgodne z działalnością pedagogiczną na rosyjskiej służbie państwowej“.

Walka z Bankiem Ludowym.

Wśród licznych na Ukrainie koorperatyw i w prasie ruskiej (szczególniej w kijowskiej „Radzie“) panuje od pewnego czasu mocne niezadowolenie z działalności centralnej współdzielczej instytucji finansowej t. j. Banku Ludowego (Narodnyj Bank) w Moskwie.

Ukraińcy dowodzą, że Bank Ludowy w Moskwie ma olbrzymią ilość akcji ukraińskich (trzecią część — 2249 akcyj), a tymczasem Rada i Zarząd Banku nie uwzględniają odrębnych interesów kooperatyw ruskich.

Z powodu niedawnego konfliktu między Zarządem Banku a jego pracownikami, kijowska „Rada“ pisze, iż „karjera Banku Ludowego, jako wszechrosyjskiej organizacji współdzielczej, jest skończona, a sama zasada centralizacji ma już w sobie coś rozkładającego się i dezorganizującego“.

Zbiorowy protest.

W „Radzie“ kijowskiej (№ 100) ukazał się list z protestem przeciw posłowi do Dumy Makohonowi, który niedawno jeździł do Galicji i oświadczył we Lwowie, iż żadnego ruchu ukraińskiego w Rosji niema. List pochodzi z Katerynosławszczyzny, a właściwie z dwu powiatów gub. Ekaterynosławskiej, i w ostrych słowach potępia wystąpienie p. Makohona.

Pod listem figuruje 1727 podpisów.

Odczyty prof. W. Lutosławskiego w Kijowie.

II.

O mistycyzmie.

Odczyt swój o mistycyzmie prelegent zaczął od czytania i interpretacji tych utworów ostatniego naszego „króla Wawelowego“, w których wypowiedział się jego mistycyzm.

A więc „Widzenie“ Mickiewicza, „Rozum i Wiara“... W nich zawarte całe curriculum wielkiego mistyka, które nie jest czemś nad-indywidualnem. W nich wypowiedział się duch Mickiewicza, który pragnął żyć, cierpieć i tworzyć...

Pokrewnym w swym mistycyzmie Mickiewiczowi jest Słowacki.

Słynny testament Słowackiego jest przykładem stanu poety przed przebudzeniem się mistycyzmu.

Wiersz o Papieżu Słowiańskim (polskim) jest to najlepsze z proroctw wieszcza, w którem zapowiada i godzi on konflikt długoletni między życiem Ducha a formami Kościoła, gdzie wieszcz zapowiada, że:

„Boga pokaże w twórczości świata jasno jak dzień...“

Mówiąc o stosunku mistycyzmu do życia, prelegent podkreślił, że droga mistyczna nie jest wcale drogą, która od życia oddala, od jego praktycznych celów, zadań i obowiązków. Największy z mistyków Bēme był szewcem.

Nie możemy się powstrzymać, aby nie przytoczyć tu na poparcie powyższej prawdy zdania wielkich myślicieli np. Emersona, który w swoim niesłychanie ciekawem studjum o Goethe'm stanowczo nazywa dziecińśtwem odróżnianie zdolności abstrakcyjnego myślenia od praktyczności. To samo mówi D. Morley w swojem dziełku „O wychowawczym wpływie literatury“. Przesądem jest—mówi D. Morley—że ludzie ducha, myśli i pióra są niepraktyczni.

A Caesar — literat wódz, a Mark Aureljusz filozof—wódz!

Trzeba się przedewszystkiem zastanowić, co to jest doświadczenie.

Doświadczenie bywa zmysłowe i umysłowe, a po nad niem doświadczenie duchowe (dodałbym jeszcze doświadczenie atawistyczne, co wkracza po części w dziedzinę duchowego).

Potrzebą wielu ludzi jest zaspokojenie wiedzy rozumowej, która jest bezinteresowną funkcją myśli. Myśl jest nową fazą dodaną do życia cielesnego. Duch zaś jeszcze wyższem stadjum. Duch ma się tak do myśli, jak myśl do zmysłów. Wynalazki są właśnie wynikiem tego głodu wiedzy rozumowej. Hypoteza—to wynik natchnienia, to nie owoc myśli. Trzeba żeby się ona zjawiła.

Czem jest w istocie swojej życie ducha? Jest to życie umysłowe w związku z życiem wyższem, gdzie się rodzą natchnienia.

Mistycyzm nie jest jakąś ekstrawagancją, ale jest to zupełnie naturalna droga, wiodąca do Królestwa Bożego.

Mówiąc o Łasce, prelegent zastanawia się, co to jest owa Łaska.

Jest to wytwór chrześcijanizmu. Przed chrześcijańśtwem nikt o tem nie wiedział, że Bóg daje więcej, niż się człowiekowi należy. Przed chrześcijańśtwem istniała tylko czysta sprawiedliwość: W chińskiej, żydowskiej, indyjskiej religjach. Pojęcie Łaski jest duchową nadbudową epoki chrześcijańskiej.

Co potrzebne jest dla obudzenia ducha? Umartwienie ciała i umysłu, biczowanie, mające dziś historyczne znaczenie (Chacorne „Życie Larordera“). Post ścisły, nawet kilkunastodniowy, może być prawdziwą illuminacją ducha i sprzyja duchowym jasnościom. Post umysłu kilkudniowy usuwa chaos umysłowy.

Drugi środek, wyrastający na podstawie ascezy jest modlitwa. Wszelkie przeżywania dzienne i wypadki dostarczają dość materjału dla dziękczynnej modlitwy.

Ćwiczenia świętości mają tę wdzięczną stronę, że są dostępne dla wszystkich. Gdy twórczość genjalna jest dostępną nielicznym. Piękną definicję dał prelegent Sakramentom: Są to kanały Łaski.

Ostatnim wyrazem Sakramentu Pokuty jest rozgrzeszenie—czyli przekreślenie przeszłości, aby nowe życie zacząć.

Trzeci środek doskonalenia się ascetycznego jest kontemplacja. Jest to ćwiczenie ducha, polegające na owym kategorycznym imperatywie Wyspiańskiego, który w „Weselu“ mówi do tłumu: „wytężcie słuch“. Jest to pewna miara ciszy duchowej, potrzebna by wyjść na drogę mistyczną.

Owoce drogi mistycznej — radość, mądrość i moc cudotwórcza.

Przesądem jest, że w polityce nie masz miejsca zasadom chrześcijańskim. Polityka powinna być chrześcijańską. Mówiąc o wielkich mistykach (Swedenborg, później Thomas Lakeharris), prelegent z entuzjazmem wspomniał o naszym wielkim mistyku Andrzeju Towiańskim, który w Zürichu w swym domu stworzył źródło tej Łaski w całem słowa tego znaczeniu.

Stanisław Gliński.

Z cyklu: «Tęsknoty».

Na zawsze wiosna ma minęła,
Odeszła gdzieś w bezmierną dal —
Na zawsze wiosna ma minęła,
I szczęście me ze sobą wzięła.
A tak mi żal...

Co raz odeszło —już nie wróci,
Nie śni się drugi raz już sen...
Co raz odeszło — już nie wróci.
W jesieni słowik nie zanuci,
Bo czas nie ten.

Daremnie chyba cudu czekam,
Gdy niema dokąd, po co iść,
Daremnie chyba cudu czekam
I z swem odejściem ciągle zwlekam,
Jak zwiędły liść.

Lecz myśl mię jedna z drogi zwodzi,
Zrodzona w ciszy moich snów,
Lecz myśl mię jedna z drogi zwodzi:
Szczęście, jak Feniks, się odrodzi —
Więc czekam znów.

Andrzej Porębski.

Szarnypol, 1-go kwietnia 1914 r.

ZE SZTUKI.

Pomysł otwarcia w Kijowie stałego Salonu Artystycznego—doskonały w zasadzie — wymaga bardzo wytrawnego kierownictwa i celowego doboru dzieł— o ile chce zyskać zaufanie i stać się trwałą placówką kultury artystycznej naszego miasta.

Z paru setek szkiców i obrazów, które w dwu serjach przesunęły się przez „Salon“ od chwili jego otwarcia, — trudno i przedwcześnie byłoby sądzić, jaki zapanuje w nim poziom artystyczny i czy inicjatorami „Salonu“ kierują pewne pogłębione i konsekwentne ambicje estetyczne.

Zanim jednak dostaniemy się do wnętrza samego przybytku, musimy niestety na wstępie już doznać wrażeń mniej estetycznych, wznosząc się po schodach zaniedbanych i zapomnianych nie tylko przez dekoratorów, ale nawet przez stróża domowego. Nie należy to zapewne do pierwszorzędnych obowiązków „Salonu“, ale kto widywał najskromniejsze bodaj, ale z dbałością o całość urządzane wystawy, ten wie doskonale, jak dodatnio usposabia widza ta atmosfera artystyczna, która roztacza się już w przedsionku samej sztuki.



Chłop serbski. Rys. Cz. B. Jankowski.

Cóż powiedzieć o obrazach i rzeźbach, które wypełniły kilka pokoi Salonu artystycznego?

Na ogół są to rzeczy, które nie „potrząsają nowości kwiatem“, nie czynią żadnych wyłomów, nie buntują się przeciwko dobrym i złym tradycjom, tu i owdzie kokietują teatralnym szałem barw, rzadko budzą sympatyczny odruch uczucia, czasem znowu oburzają niedołęztwem sposobów wypowiadania wrażeń malarskich.

Tu musimy porozumieć się co do naszego stanowiska.

Jakiekolwiek będą ostateczne uzasadnienia wartości estetycznych,—sztuka zawsze i wszędzie dąży do spotęgowania i syntezy życia.

To jedna strona i nieomylne znamię każdego czynu twórczego.

Drugim decydującym czynnikiem w sztuce jest indywidualność twórcy,—jego swoisty, do innych niepodobny stosunek do zjawisk i rzeczy. W odrębności tej kryje się tajemnica wiecznej i nieprzemijającej młodości sztuki, cały sekret czarów, wszystka niewidzialna siła uroku, spływającego na słuchacza i widza, zdolnego do wzruszeń estetycznych.

Z podkreślenia tego wypływa inna zasadnicza choć zapoznana prawda, mianowicie, że czerpanie wrażeń ze skarbów sztuki nie jest potrzebą życia powszedniego, ale zdolnością i darem, pewnego rodzaju nagrodą i łaską dla tych, którzy do sztuki zbliżyć się zechcą z zaciekawieniem i bezinteresowną intencją.

I dalej: sztuka nie jest ani kaznodzieją, ani piastunką, ani pedagogiem. Jeżeli w dziejach jej zachodziły jednak pewne odstępstwa na rzecz bezpośredniego pożytku praktycznego, można je traktować jako mimowolne błędy, obok których sztuka nie przestawała tworzyć wartości czysto estetycznych, w ostatecznych skutkach swych też życiowo pożyteczne, ale ujawnione drogą przeobrażeń bardziej subtelnych i bardziej niezawodnych.

Ażeby choć trochę pojąć tę Wieżę Babel sądów, która się piętrzy dookoła zagadnień estetycznych, postarajmy się uprzytomnić na chwilę niesłychaną różnorodność tworów świata artystycznego, rozdział i głuche mury, któremi poodgradzane są rozmaite sfery twórczości, wreszcie niewspółmierność środków i sposobów artystycznego wypowiadania się. Pomyślmy, jak znikoma garstka pisarzy i poetów zna się i odczuwa piękno plastyczne, jaki brak malarzy i rzeźbiarzy orjentujących się w twórczości literackiej, jakie zastępy mamy aktorów niemuzykalnych i z kolei rzeczy obojętnych na inne przejawy piękna, leżące po za ich światem.

A jeżeli tak dzieje się śród wtajemniczonych, jeżeli między nimi tak trudno o wzajemne porozumienie się, cóż mówić dopiero o rzeszy zwykłych śmiertelników?

Powiedzmy więcej: w kole jednego bractwa artystycznego—jakiem jest malarstwo—panują gorszące zatargi i wzajemny antagonizm, oparty po prostu na odmiennym sposobie widzenia i wyczuwania rzeczy. Subtelnego kolorystę—obraża prostactwo barw; wytworny rysownik o zdecydowanej linji i kształcie doznaje mdłości na widok mazgajowatych i rozmydlonych form; malarz z namysłem komponujący obrazy — słusznie lekceważy bezmyślność fotograficznego odtwarzania natury i t. d.

Ale z rozwojem sztuki — posłannictwo służenia jej ulega coraz nowym interpretacjom. Z nieustającym przeto niepokojem wracamy wiecznie do zagadnienia naczelnego: na czem polega piękno? czy istnieje jego objektywny powszechny ideał?

W tem miejscu musielibyśmy opuścić zakres zwykłych uwag o malarstwie, i wyjść na pole poszukiwań natury ogólnej, przerastających sprawozdanie okolicznościowe. Zdecydujmy przeto na razie w sposób dogmatyczny, że obowiązujących powszechnie kanonów piękna nie ustaliła dotąd żadna krytyka, że wartość i sens żywotny mogą mieć tylko podmiotowe sądy o pięknie i że wreszcie problemat piękna nie może być rozwiązany w oderwaniu i niezależnie od najistotniejszych spraw życiowych, ale przeciwnie—sięga on i rozgałęzia się szeroko w samym instynkcie życia.

Poczyniwszy te ogólne zastrzeżenia, wróćmy raz jeszcze do naszego „Salonu“.

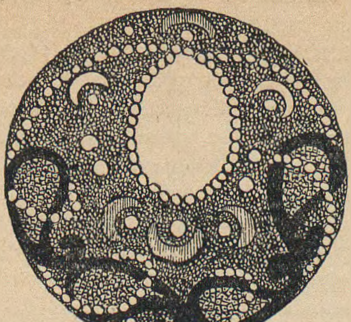
Powiedzmy otwarcie: galerja bieżąca przedstawia się bardzo ubogo i bardzo jednostronnie. Większość szkiców przebywa w błogiej sferze dawno przebrzmiałego malarstwa impresyjnego, pojętego tępo realizmu, szarego, nudnego, bez pasji kolorystycznych, bez (broń Boże) odchyleń od poprawności szkolarskiej. Na wielu znać wybitne piętno, t. zw. „pieredwiżniczestwa“, czyli pewnej kultury malarskiej, która niepodzielnie panowała z górą ćwierć wieku w salonach wystawy ruchomej grupy malarzy rosyjskich, z Riepinem i innymi na czele.

Oazą, pociągającą oczy widza, jest portret kobiecy Kisielowa pod bezpretensjonalnym tytułem „Marusia“, malowany z dużą umiejętnością fachową, ujmujący szczerym sentymentem, szlachetny w liniach i gustowny w kolorze. Zauważyliśmy też w jednym z bocznych pokojów grupę obrazów malarzy polskich, nieobjętych katalogiem wystawy bieżącej. Nie dotykamy też na razie szczegółowej charakterystyki dzieł i autorów, zamierzając przy zdarzonej sposobności uczynić to wyczerpująco i bardziej rzeczowo.

Cezary Popławski.

Kijów.





Z MUZYKI.

Opera kijowska, po marnym i nikłym żywocie w ciągu całego sezonu, beznadziejnie szarym pod względem sił wykonawczych, a rozpaczliwie nudnym i oklepanym pod względem repertuarowym, dała miłośnikom muzyki parę chwil niezwykłego zadowolenia artystycznego, jedynie dzięki kilku gościnnym występom głośnych śpiewaków. Zadowolenie to wszakże nie mogło być zupełnem, przyjąwszy na uwagę tło, na jakiem przyszło zabłysnąć zaproszonym artystom, gdyż siły miejscowe wysoce się przyczyniły do obniżenia sumy estetycznych wrażeń.

Jeżeli śpiewacy włoscy (przedewszystkiem p. p. Battistini, de Luca, Boninsegna) w zupełności zasługują na miano „gwiazd" pierwszorzędnych, jeżeli kreacje p. Wayda-Korolewiczowej w całem znaczeniu słowa są czarujące (świetnem zwłaszcza było odtworzenie „Madame Butterfly" Puccini'ego), to już płomiennym blaskiem prawdziwego meteoru zabłysnął na horyzoncie kijowskiego życia muzycznego p. Adam Didur, śpiewak o wszechświatowym rozgłosie, najpierwszy basista doby obecnej. Głos p. Didura, o skali nieprawdopodobnie rozleglej, o miękości, jakiej mógłby pozazdrościć mu najbogaciej uposażony tenor liryczny, wsparty na technice, posuniętej do nec plus ultra, jest doskonale posłusznem narzędziem artysty, w równym stopniu umożliwiającem mu odtwarzanie partji, zasadniczo się różniących pod względem nastroju i charakteru. P. Didur z iście kameleonową zmiennością potrafi się przeistaczać z poetycznego, zachwycającego głębią uczucia liryka, w postać tchnącą demoniczną grozą, lub naprzemiany dać przedziwny typ komiczny o groteskowem zabarwieniu. Artysta wystąpił w „Fauście" (Mefistofeles), „Pajacach" (Tonio) i „Cyruliku Sewilskim (don Basilio). Jakkolwiek wykonanie każdej z powyższych partji odznaczało się skończonem mistrzowstwem, szczytem wszakże doskonałości, zdaniem mojem, było odtworzenie roli don Basilia. Słynna arja „La calunnia è un venticello" w interpretacji p. Didura była ostatnim wyrazem techniki śpiewaczej, przepychu dykcji i muzycznego dowcipu. Taki arcytwór sztuki wykonawczej pozostawia niezatarte wrażenie. Stanowi on w życiu melomana epokę, o której niepodobna zapomnieć.

P. Didur jest jednak nietylko fenomenalnym śpiewakiem: bajeczna umiejętność śpiewania kojarzy się w nim z ogromnym temperamentem dramatycznym. Nie mam dość słów uznania dla jego olbrzymiej inteligencji, ujawniającej się w każdym szczególe gry, w masce, pozie, stylowo obmyślanym kostjumie! Szablonu operowego ani śladu, mamy przed sobą artystę w każdym calu! Wzniecając zachwyt swym głosem, p. Didur jednocześnie przykuwa uwagę widza. Jego Mefisto budzi dreszcz grozy, jego Tonio wstrząsa do głębi ukrytym tragizmem, niezrównany wreszcie don Basilio rozwija niewyczerpaną pomysłowość, ujawnia niepospolity dowcip, jest majstersztykiem barokowego komizmu.

Śpiewacy, w których otoczeniu przyszło występować naszemu mistrzowi, uczynili, zda się, wszystko, co było w ich mocy, by raz na zawsze odstręczyć wielkiego artystę od produkowania się na scenie kijowskiej. Nie wątpimy też, że znakomity gość utworzył sobie przekonanie o teatrze naszym jako o szkole operowej, umożliwiającej stawianie pierwszych kroków na scenie przeróżnym debiutantom, w przeważnej części zgoła niemuzykalnym i pozbawionym najprymitywniejszych wiadomości z zakresu sztuki śpiewaczej.

St. B.



NOWE KSIĄŻKI.

„Tryumf Krzyża — Chrystus w poezji polskiej" Zebrał i ułożył ks. Ed. Wolski; słowem wstępnem opatrzył ks. prof. J. Kruszyński. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego. Kijów i Warszawa, 1914.

Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego wyszła z druku nader starannie wydana książka, p. t. „Tryumf Krzyża — Chrystus w poezji polskiej", dedykowana przez wydawcę najprzewielebniejszemu Arcybiskupowi Metropolicie warszawskiemu, ks. dr. Aleksandrowi Kakowskiemu.

„Zasługa narodzin książki, jak pisze w swojej przedmowie ks. Józef Kruszyński. przypada ks. Edmundowi Wolskiemu, prefektowi szkół we Włocławku. Zebrał on utwory poetyckie, zestawił i ułożył piękną całość. Obok genjuszów naszego ducha: Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego i Konopnickiej, zgromadził cały legjon wielkich i mniejszych talentów, wzniosłych jednak swemi dążnościami, szlachetnością uczucia i owianych potęgą natchnienia, które z Chrystusa i Jego krzyża spływa na ludzkość".

Wśród nazwisk spotykamy kilku autorów początkujących, zarówno jak i takich, którzy, choć należą do dawniejszych, mało są znani. Nieliczne ich prace, drukowane po różnych czasopismach, były nieprzystępne szerszemu ogółowi.

„Tryumf Krzyża" jest tematem bardzo popularnym a jednocześnie bodaj tak ściśle związanym z dziejami naszej ziemi w ostatnim jej okresie historycznym, że synowie Polski, kochający swą Ojczyznę, nie mogą nie czerpać w nim natchnienia: jest to objaw bardzo radosny, że nasi poeci sięgają po ten temat. Świadczy to, że nadzieja ujrzenia Słońca, jakkolwiek z każdym dniem wzmagają się czarne chmury na horyzoncie naszego politycznego bytu, jak i religijnego życia—nie ustała.

Utwory poetyckie, odnoszące się do Chrystusa i wogóle do Jego Królestwa na ziemi, rozłożono na cztery grupy: te które odnoszą się do lat młodzieńczych Zbawiciela i tajemnic obchodzonych dzisiaj w Kościele a związanych z temi latami, następnie te, które odnoszą się do Męki i Krzyża, dalej te co dotyczą Zmartwychwstania i wreszcie Kościoła.

We wszystkich tych działach promienieje jak zorza poranna owa nadzieja. Rzadko da się spotkać zgrzyt niezadowolenia i niechęci, rzadziej jeszcze jęk rozpaczy. Natomiast duchowi narodu wskazywane są ścieżki na wyżynę.

W zbiorze w części pierwszej „Gloria in Excelsis Deo“, oprócz wielkiej trójcy, znajdujemy nazwiska: Kasprowicza, Czesława Jankowskiego, Oppmana (Or-Ota), Pileckiego, Pola, Kondratowicza (Syrokomli), Lenartowicza, Bohdana Zaleskiego, Asnyka, K. Glińskiego, Laskowskiego, Rydla, Deotymy i Bronisławy Ostrowskiej.

W części drugiej „Ave Crux“—Konopnickiej, Ujejskiego, Pietkiewicza (Pługa) Gomulickiego, Żuławskiego, Faleńskiego (Felicjana), Włodzimierza Stebelskiego i wielu wymienionych w części pierwszej.

W dziale trzecim „Alleluja“—Odyńca, Tetmajera, Zawistowskiej, Zuzanny Rabskiej, Bożydara, Antoniego Orłowskiego, Pawła Kośmińskiego, Norwida, Wyspiańskiego, Szandlerowskiego. Wreszcie część czwarta „Credo“ obejmuje utwory wielu poetów wyżej wymienionych.

Książka ta niewątpliwie w krótkim czasie zdobędzie popularność.

Anatol Krzyżanowski. „Promień Boży“. Powieść współczesna. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego. Kijów i Warszawa. 1914.

Ostatnia powieść Anatola Krzyżanowskiego należy do najlepszych utworów tej autorki o męzkim pseudonimie. Wielka barwność opowiadania, żywość akcji, bardzo umiejętne kreślenie postaci, zwłaszcza niewieścich— oto najznamienniejsze rysy „Promienia Bożego“. Treść bardzo zajmująca, osnuta na dziejach serca utalentowanego powieściopisarza, który łamie życie dwu kobietom—żonie i wrażliwej czytelniczce swego modernistycznego romansu, a następnie sam doznaje gorzkiego zawodu od istoty gorąco ukochanej. Dzieje te, opisane z wielką swobodą, acz bez głębszego pogłębienia psychologicznego, przykuwają od początku do końca uwagę czytającego. Powieść ma wszelkie dane na duże powodzenie.

Jan Łada. „Mag“. Powieść z ostatnich lat panowania Zygmunta III. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego. Kijów i Warszawa. 1914.

Znany i wybitny pisarz, używający pseudonimu Jan Łada, dotychczas pisywał głównie nowele i drobniejsze opowiadania Obecnie przeszedł do szerokich rozmiarów obrazu historycznego i skreślił powieść, w której zdumiewa wielką erudycją obok głębszego talentu naracyjnego. W „Magu“ Jana Łady występuje w całej pełni głęboka znajomość Lwowa w wieku XVII, życia i obyczaju trzech narodowości gród ten zamieszkujących, bogactwa i stopnia kultury lwowskiego patrycjatu, warunków jego życia i stosunków ze Wschodem.

Fabuła powieści jest bardzo urozmaicona. Interesuje najsamprzód typowa dla owej epoki demoniczna postać uprawiającego czarną magję Włocha Gianiego, który rzucił urok na piękną Beatę, siostrzenicę bogatego ormiańskiego kupca we Lwowie i fatalnie zaważył na jej losach. Na barwnych kartach książki mnóstwo niezwykłych przygód. Bohaterów swoich: towarzysza pancernego Gozdzkiego, ukochaną przezeń Beatę i wiernego sługę Wartana wiedzie autor przez dzikie stepy, czambuły tatarskie, nory czarnoksiężnika—do stolicy sułtanów. Raz po raz grożą głównym figurom powieści katastrofy, zapierające zapewne oddech mniej znającemu arkana powieściopisarskie czytelnikowi. Autor jednakże szczęśliwie rozwiązuje rozpaczliwe sytuacje i prostuje przed bohaterami ścieżki, pełne przygód życia. Bujna wyobraźnia i ścisła znajomość historyczno-obyczajowego tła złożyły się na ponętną całość.

Gabryel hr. Pruszyński. „Wśród ostępów poleskich“. Opowiadania myśliwskie. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego. Kijów i Warszawa. 1914.

Bardzo sympatyczne wspomnienia myśliwskie Gabryela hr. Pruszyńskiego wyszły świeżo z druku nakładem Leona Idzikowskiego w Kijowie. Autor sięga w swych opowiadaniach epoki dawno minionej i wskrzesza wspomnienia z przed laty pięćdziesięciu, gdy z otrzymanym w Hohenheimie patentem powrócił był do domu rodzicielskiego na głuchem i odludnem Polesiu. Obrazki hr. Pruszyńskiego kreślone są swobodnie i bezpretensjonalnie.

Stanisław Romiszowski. „Pieśni serca“ Poezje. Wydanie J. Paszkiewicza. Kijów. 1914.

Ze zdumieniem czyta się tę ozdobnie wydaną książeczkę.

„Pieśni“ p. Romiszowskiego pełne są błędów gramatycznych i stylistycznych, a przedmowa p. Wencesława (?!) Wolskiego, rekomendująca autora tych potwornych utworków jako „istotnego poetę“, — jest wprost karygodnem znęcaniem się nad mową polską. Można podziwiać wydawcę, który elukubracje ludzi, nieumiejących gramatycznie pisać, przyobleka w szatę drukarską.

Orka pokazowa.

Od 20-go do 27-go b. m. na polach majątku Czerepaczyńce na Podolu, przy licznym zjeździe ziemian, odbyła się orka pokazowa czeskim pługiem motorowym „Laurin i Clement“. Próby wypadły znakomicie.

Szczegółowe sprawozdanie naszego korespondenta znajdą czytelnicy w następnym numerze „Rolnika Ukraińskiego“.

KLISZE DLA „KŁOSÓW UKRAIŃSKICH“ WYKONANE w ZAKŁADZIE „GRAFIK“ w KIJOWIE (W. KRASNOSIELSKIEGO).

NAKŁADEM KIJOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ.

Redaktor i wydawca: Jan Ursyn-Zamarajew. Czcionkami Drukarni Polskiej w Kijowie.

№ 3—4. KWIECIEŃ 1914 ROKU. № 3—4.

Rolnik Ukraiński

Cukrownik — Gorzelnik — Hodowca — Leśnik — Ogrodnik — Meljorator.
Bezpłatny dodatek do „Kłosów Ukraińskich“.

KOMITET REDAKCYJNY: *Marjan Baraniecki, Kazimierz Bojarski, Aleksander Bydłowski, Józej Lec-Zapartowicz, Feliks Lubański, Adolf Lortsch, Władysław Kocent-Zieliński, Wacław Sikorski, Stefan Wolski.*

KIEROWNIK: WACŁAW SIKORSKI.

Redakcja i Administracja: Kijów, Michałowski zaułek 14.

Uprawa koniczyny czerwonej na nasienie w pierwszym roku bez rośliny ochronnej (Sposób Bufara).

Na Podolu uprawa koniczyny czerwonej ma bardzo doniosłe znaczenie nie tylko ze względów bezpośredniej opłacalności, (bowiem daje obfitą paszę i nasiona), lecz i ze względu na samą kulturę rolną, ponieważ wywiera bardzo dodatni wpływ na samą rolę, wzbogacając ostatnią w związki azotu i poprawiając zepsutą jej strukturę. Ta ostatnia właściwość koniczyny czerwonej w szeregu innych roślin strączkowych wywiera wprost zbawienny wpływ na naszą rolę, która zazwyczaj jest mniej lub więcej rozpyloną przez forsowną uprawę roślin okopowych. Otóż koniczyna, dzięki budowie swego systemu korzeniowego, nadaje glebie utraconą strukturę, przez co rola staje się mniej zlewną i nie tak łatwo zaskorupia się, co ma niemal główne znaczenie na naszych glinkach leśnych, których strukturę roli zepsuć jest bardzo łatwo. To też na tego rodzaju ziemiach uprawa okopowych staje się prawie niemożliwą bez jednoczesnej uprawy roślin strączkowych, a w pierwszym szeregu — koniczyny czerwonej.

Niestety, koniczyna należy do roślin, wymagających dość znacznych opadów atmosferycznych, a przeto u nas na Podolu uprawa jej nie wszędzie jest możliwą i naprzykład w powiecie Bałckim, w południowej części powiatu Hajsyńskiego, Olhopolskiego, Jampolskiego, Mohylowskiego, a nawet i Kamienieckiego, koniczyna czerwona nie jest wcale uprawianą, bowiem, ze względu na brak wilgoci w roli, w tej części Podola wcale się nie udaje, oczywiście przy tym sposobie uprawy, który dotychczas był praktykowany.

Tymczasem wyniki doświadczeń, organizowanych przez Sekcję Rolną Podolskiego Towarzystwa Rolniczego, przekonują nas, że jednak i na południu Podola można z łatwością uprawiać koniczynę czerwoną, należy tylko siać ją p a s o w o i b e z r o ś l i n y o c h r o n n e j.

W tym celu przedewszystkiem trzeba wybrać pole dobrze oczyszczone od chwastów, a więc po roślinach okopowych, na roli bowiem zachwaszczonej pielenie koniczyny w pierwszym okresie jej wegetacji będzie zbyt kosztownem. Siew musi być wczesny i może być wykonany zwykłym siewnikiem rzędowym, u którego poprzednio zostały ściągnięte radełka grupami po trzy, wskutek czego koniczyna wysiewa się pasami o trzech rzędach, a pomiędzy tymi pasami pozostają uliczki szerokości około 8 cali. Gęstość siewu (zależnie od urodzajności gleby i dobroci nasienia) waha się od 35 do 45 funt. na desiatynę; należy przy tem zwrócić baczną uwagę, aby nasiona nie dostały się zbyt głęboko do roli, to też na ziemiach więcej pulchnych wszelkie ciężarki z radełek bezwarunkowo trzeba zdjąć i unikać w tym celu siewników, u których głębokość siewu nie daje się z łatwością regułować.

W pierwszym okresie wegetacji

koniczyna rozwija się bardzo powoli i nader szybko zarasta chwastami, to też należy ją przynajmniej raz opleć, a uliczki parę razy przegracować, — przy tem koszta pielenia i gracowania wynoszą zazwyczaj od 8 do 12 rb. na desiatynę. W następnym okresie wegetacji, mniej więcej w połowie czerwca, koniczyna już jest o tyle rozwinięta, że zakrywa kompletnie uliczki, i na jesieni już w pierwszym roku może być sprzątnięta na nasiona, przytem dojrzewa jednocześnie z drugim pokosem koniczyny, sianej w owsie w roku poprzednim.

W roku 1907, 1908 i 1913 Sekcja Rolna Podolskiego Towarzystwa Rolniczego dla zbadania tego sposobu uprawy koniczyny przeprowadziła na Podolu szereg prób, przyczem otrzymane były wyniki bardzo dodatnie, z wyjątkiem ostatniego roku, kiedy wskutek nadmiaru wilgoci koniczyna wyszła zbyt gęstą i musieliśmy skosić ją na siano,— gdyż na polu zaczęła podgniwać. Wyniki tych doświadczeń poniżej podajemy (tylko za rok 1907).

1) Koniczyna pasowa (siew 1907 roku).

2) Koniczyna zwykłej uprawy (siew 1906 r. w owsie)

Otrzymano z 1 dz. nasion w pud:

m. Brytawka	m. Horodyska	m. Baranówka
19 pud.	13 pud.	14 p. 8. f.
13 pud.	$3^1/_4$ pud.	4 p. $^1/_2$ f.

Z powyższych danych widzimy, że koniczyna uprawiana pasowo bez rośliny ochronnej już w pierwszym roku wydała bardzo dobry plon nasion, który znacznie przewyższał rezultat otrzymany od koniczyny zeszłorocznej, lecz sianej w roślinie ochronnej.

W jednym z tych majątków, w Brytawce, po sprzęcie nasion, w następnym roku otrzymano obfity plon siana, a następnie drugi sprzęt nasion w ilości 10 pud. z dziesięciny.

Tak więc w kraju naszym koniczynę czerwoną nie tylko śmiało możemy traktować jako roślinę jednoletnią, lecz i po sprzęcie nasion, wbrew utartemu przekonaniu, że w takim razie ona zbyt się wysila i kwalifikuje się już tylko na przeoranie, możemy przy pasowej uprawie zostawić ją jeszcze na siano, a nawet w wyjątkowych razach i dla drugiego sprzętu nasion.

Tego rodzaju właściwości koniczyny czerwonej pozwalają przypuszczać możliwość jej uprawy i w południowej części Podola, gdzie wskutek braku wilgoci przy zwykłej uprawie koniczyna dotychczas nie udawała się wcale.

I rzeczywiście: o ile koniczyna jest posiana bez rośliny ochronnej (owsa lub jęczmienia), to w takim razie wegetacja jej jest bezwarunkowo bujniejszą, bo sama roślina ochronna może już powodować nadmierne wysuszenie roli; dalej zapobiega też temu uprawa międzyrzędowa, co przy zwykłym siewie koniczyny jest niemożliwe. Pomimo to, roślina ochronna powoduje w mniejszym lub większym stopniu wydelikacenie młodej koniczyny, to też staje się ona mniej odporną. Po sprzęcie rośliny ochronnej, co zazwyczaj ma miejsce podczas największych upałów, — taka wydelikacona koniczyna jest raptownie odsłonięta i narażona na zgubny wpływ palących słonecznych promieni; skutkiem tego w południowych powiatach Podola w tym właśnie krytycznym momencie zwykle ginie. Zupełnie inaczej ma się rzecz przy pasowej uprawie koniczyny bez rośliny ochronnej. To też przy tym sposobie udało się nam otrzymać bardzo dobre plony i siana i nasion, nawet na krańcowem południu Podola, a są dane, że w Besarabji i w Chersońszczyźnie koniczyna, siana pasowo, również się dobrze udaje.

J. ZAPARTOWICZ.

Winnica.

□ □ □

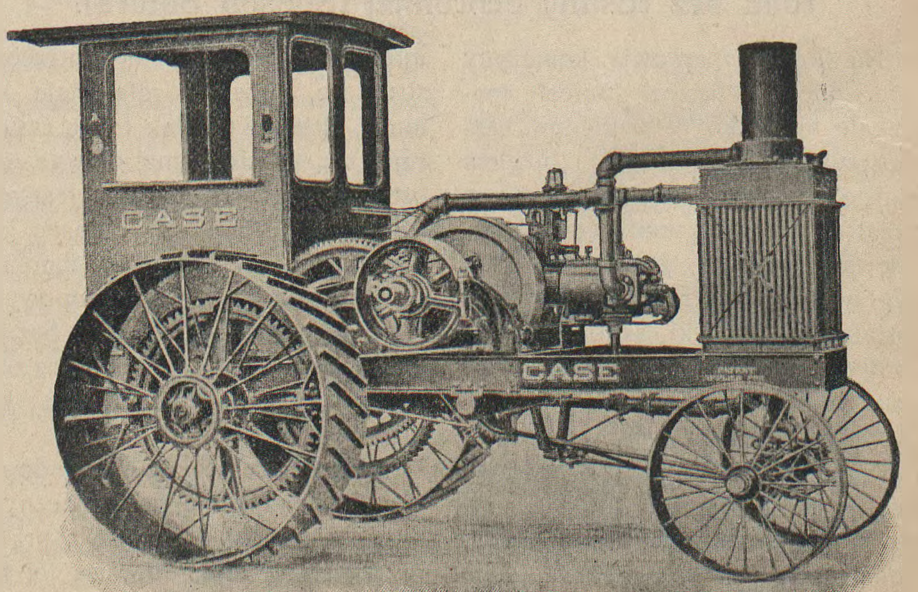
Ciągówki i samochody parowe.

III.

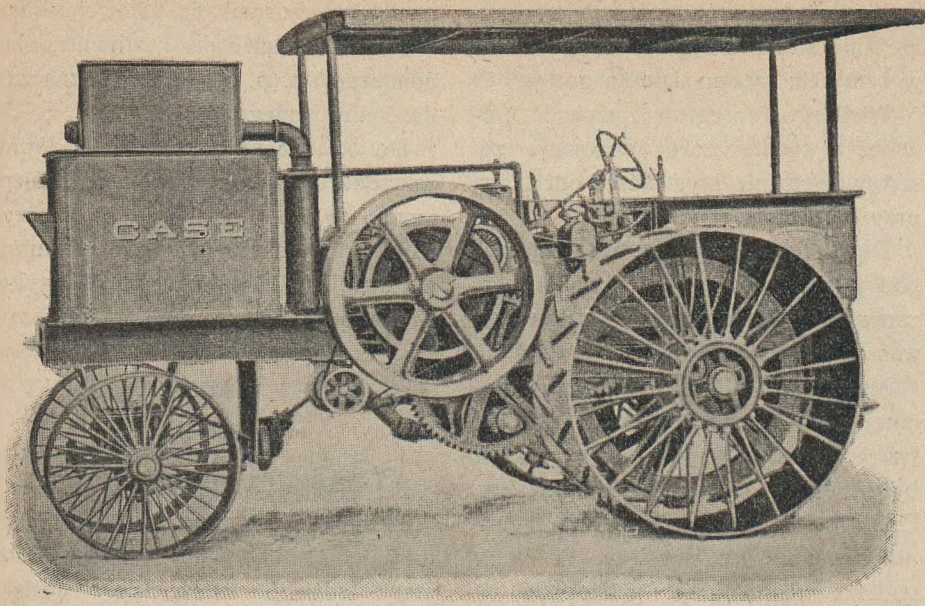
Ciągówkami czyli traktorami nazywamy maszyny, służące zamiast zaprzęgu zwierząt do ciągnięcia różnych narzędzi rolniczych, a również i do przewożenia ciężarów.

Mówiąc o ciągówkach ze specjalnem zastosowaniem ich do uprawy roli, należy zwrócić również uwagę na maszyny, składające się, w jednej nierozdzielnej całości, z narzędzia do uprawy i silnika; tego rodzaju maszyny to wytwór europejskich konstruktorów, i są one szczególniej w Niemczech i Austrji dość rozpowszechnione, a i u nas już pewne znalazły zastosowanie.

Dzieląc ciągówki na grupy, według ich cech charakterystycznych, rozróżnimy maszyny wysokokołowe z napędem tylko na dwa tylne koła, które ze względu na dostateczne przyleganie do ziemi (unikając tak zwanego buksowania) muszą być bardzo wysokie i szerokie. Dru-



Ciągówka „Case“ o mocy 40 koni mechanicznych, wagi 385 pudów.



Ciągówka „Case“ o mocy 60 koni mechanicznych, wagi 686 pudów.

ga grupa to maszyny niskokołowe, w których wszystkie cztery koła sprzężono bezpośrednio z silnikiem; trzecia-to maszyny bezkołowe, w których koła zastąpiono specjalnym mechanizmem, tak zwaną taśmą gąsienicową.

Najwięcej rozpowszechnionemi są ciągówki wysokokołowe, gdyż, wzorując się na samochodach parowych, tego właśnie typu maszyny z silnikami wybuchowemi najpierw budować zaczęto. Wobec zaś olbrzymiego zapotrzebowania maszyn pociągowych w Ameryce, przemysł budowy ciągówek szybko się rozwinął; typ maszyny wysokokołowej warunkom amerykańskim dobrze odpowiada, więc coraz nowe fabryki, według już ustalonego i przez rynek dobrze przyjętego wzoru, budują, nie siląc się zbytnio na nowe pomysły, a drobniejszemi udoskonaleniami dążą do przewyższenia konkurencji.

Rozpowszechnione i doskonale charakteryzujące całą grupę ciągówek wysokokołowych są maszyny firmy „Case“ (Keis).

Widzieliśmy je w Kijowie na Wystawie, a że i w kraju naszym zastosowanie znalazły, pozwala to nam bliżej w ich budowie się rozejrzeć.

Jak widzimy na rysunku, budowa ciągówki „Case“ jest dość prostą. Na żelaznym wozie znajduje się poziomy silnik wybuchowy, dwucylindrowy - czterosuwowy (czterotaktowy), o jednym dla obydwu cylindrów korbowym wale. Na wale tym umieszczone są złącza przekładniowe kołami zębatemi dla przeniesienia rozwiniętej w cylindrach mocy na tylne koła pociągowe, i oddzielnie przez sprzęgło cierne (mufę frykcyjną) na koło pasów. Na przodzie wozu znajduje się chłodnica dla studzenia wody krążącej i ochładzającej rozgrzane przez wybuchy ścianki cylindrów. Nad chłodnicą umieszczono kominek, odprowadzający gazy wydmuchowe i równocześnie powodujący silny przewiew powietrza wzmacniający działanie chłodnicy. Zapalanie płynnego paliwa—zwykle białej nafty—uskutecznia się podczas biegu maszyny od cewki elektro-magnetycznej, dla początkowych zaś zapłonów podczas rozruchu służy baterja akumulatorowa.

W budce, przeznaczonej dla kierowcy, umieszczono wszystkie dźwignie i zawory, a także korbę sterową, któremi działając kierowca ze swojego miejsca dowolnie kieruje działaniem i ruchami maszyny. Przednie koła ciągówki są niewysokie i lekkiej budowy; osadzone są one na osi typu automobilowego; do kół tych prowadzą odpowiednie ścięgi od korby sterowej, znajdującej się w budce kierowcy. Tylne koła są bardzo wysokie i szerokie, bo na nie to z silnika przenosi się całą moc wytworzoną dla wykonania pracy pociągowej. Przez zastosowanie zmiennych przekładni trybowych (przesuwanych, bez demontowania, bezpośrednio z budki kierowcy), ciągówce można nadać dwie różne szybkości ruchu: postępowy $3^1/_2$ i $4^1/_2$ wiorsty na godzinę i ruch wsteczny przy szybkości $3^1/_2$ wiorsty na godzinę.

„Case“, o ile wiemy, buduje ciągówki dwu wielkości, większe o mocy 60 koni mechanicznych, których silnik przy 325 obrotach na minutę pracuje a cała maszyna waży 686 pudów, i drugie, mniejsze, rozwijające przy 450 obrotach na minutę silnika moc 40 koni mechanicznych. Waga tej mniejszej ciągówki jest 385 pudów.

ST. WOLSKI.

□ □ □

Pogląd retrospektywny na rozwój cukrownictwa na Rusi.

III.

Opodatkowanie cukru od czasu zaprowadzenia dyfuzji oparte było na pojemności naczyń dyfuzyjnych. Corocznie baterje dyfuzyjne bywały ściśle wymierzane przez zarząd akcyzy, i obliczano na tej zasadzie wytwórczość dzienną każdej cukrowni, licząc na każde 100 wiader naczyń pewną określoną z góry ilość przerobionych buraków i otrzymywanego cukru.

Rzecz prosta, że wywołało to pewnego rodzaju wyścigi między cukrowniami a władzami fiskalnemi: cukrownie prześcigały się wzajemnie w ilości dziennego przerobu, fiskus zaś corocznie powiększał obliczaną teoretycznie ilość wytwarzanego cukru.

Ponieważ, jak to zaznaczyłem wyżej, całe obliczenie opierało się na pojemności naczyń dyfuzyjnych, zaczęto więc je stopniowo zmniejszać, za przykładem cukrowni czeskich, z wielką stratą na wydajności cukru.

Wiele cukrowni cztero i pięciokrotnie zmieniało baterje dyfuzyjne, które doszły w końcu do 14 naczyń po 50—60 wiader każde, z tyluż kaloryzatorami i dolnem wyładowywaniem.

Cała ta walka z systemem akcyzo-

wym, mimo doraźnych korzyści materjalnych, miała tę złą stronę, że zwróciła całą uwagę na stację wydobywania soku, z pominięciem innych oddziałów fabrykacji.

Ile pieniędzy wyszło z kraju do czeskich fabryk konstrukcyjnych, trudno byłoby obliczyć, a ile cukru zmarnowało się w odpadkach dyfuzyjnych, sądzę, że i sami ówcześni kierownicy cukrowni nie zdawali dokładnie sobie sprawy.

Bo i jakże mogło być inaczej, kiedy pobijał rekord nie ten, kto otrzymywał więcej cukru z buraka, lub spalał mniej opału, ale ten, kto zapłacił mniejszą akcyzę.

Kres takim nienormalnym stosunkom położył Ukaz z dnia 3 lutego r. 1881, który radykalnie zmienił system pobierania akcyzy. Stosownie do nowego prawa, skala pobieranego podatku stopniowo wzrastała od 50 kop. do 1 r. 75 kop. od puda cukru, faktycznie wyprodukowanego.

Jakkolwiek był to cios dla fabrykantów na razie dotkliwy, wprowadziło to jednak udoskonalenia w technice cukrowniczej na tory właściwe.

Ograniczenie kosztów fabrykacji, zmniejszenie i ułatwienie pracy ręcznej, utylizacja pary powrotnej i warzelnej, oszczędność na paliwie, ulepszenia w izolacji przewodów parowych — osiągnięte zostało stopniowo i postawiło technikę cukrowniczą na odpowiednim poziomie.

Przedewszystkiem zaś zapanowała fala powrotna w instalacji baterji dyfuzyjnych.

Małe dyfuzorki zaczęto stopniowo zamieniać na coraz większe, zawsze jednak z kaloryzatorami i dolnem wyładowywaniem, co wpłynęło na znaczne zmniejszenie strat w wysłodzinach.

Do rzędu jednak kardynalnych ulepszeń w dziedzinie fabrykacji zaliczyć należy skasowanie filtracji kostnej soków i syropów i zastosowanie wzamian cedzenia przez tkaniny bawełniane.

Inowacja ta, przyjęta w początku z wielkiem niedowierzaniem, już w ostatniem dziesięcioleciu wieku zeszłego zapanowała powszechnie, i dała wyniki pod każdym względem dodatnie.

Nieposlednią rolę w sprawie oczyszczania soków odegrało zastosowanie w tym celu kwasu siarczanego.

Wielkiego znaczenia przewrót (również w tych czasach) dokonany został w dziedzinie krystalizacji odcieków, przy wirowaniu produktów.

Dotąd funkcjonowały całe instalacje pod postacią rozmaitego rozmiaru rezerwuarów żelaznych, w których odbywała się krystalizacja w spokoju.

Manipulacja taka wymagała ogromnej ilości naczyń, od stu do kilku tysięcy wiader pojemności, w które były zlewane II-gie i III-cie produkty. Czas potrzebny do ich skrystalizowania dosięgał paru miesięcy. Tak, że podczas kampanji były odsiewane tylko drugie produkty, trzecie i częstokroć czwarte były pozostawiane na czas pokampanijny i przerabiane zimą na żółty i następnie biały cukier, podczas tak zw. klarówek. Trwały one po kilka miesięcy i łatwo sobie uprzytomnić, ile kosztowały pracy i pieniędzy.

Większość obecnych cukrowników dobrze pamięta te czasy, kiedy to całe zastępy robotników półnagich zatrudnione były rozbijaniem cukrzycy, za pomocą kilofów i innych narzędzi.

W olbrzymich zbiornikach żelaznych, lub cementowanych, pracowali przy tej manipulacji ludzie formalnie nadzy i oblani potem.

Sprawiało to wrażenie podobne do pracy Negrów w kopalniach afrykańskich.

Łatwo więc zrozumieć epokowe znaczenie zaprowadzenia krystalizacji w ruchu i zastąpienia pracy ręcznej—mechaniczną przy zastosowaniu szeregu mieszadeł.

Dzisiejsze wirownie odznaczają się czystością i miłym wyglądem przy znacznem zmniejszeniu ilości robotników.

Olbrzymie, o nader wysokiej temperaturze suszarnie zastąpiono przyrządami mechanicznemi, jednocześnie suszącemi i ochładzającemi cukier.

Nie wspominałem tutaj o wielu drobniejszych ulepszeniach, które zastosowane zostały w ciągu ostatniego pięćdziesięciolecia w dziedzinie cukrownictwa, gdyż zajęłoby to zbyt wiele miejsca.

Nie mogę jednak pominąć znacznego postępu w gospodarce parowej. Ruszta ruchome, paleniska bezdymne, ekonomiczne i t. p. zredukowały znacznie ilość niezbędnego paliwa.

Do ostatnich inowacji należą wprowadzone już w paru cukrowniach turbiny, w zastępstwie maszyn parowych, i elektryfikacja fabryk cukru, o czem jednak—kończąc moje artykuły — mówić na tem miejscu — uważam za przedwczesne.

TADEUSZ OSIŃSKI.

□ □ □

O naszem ogrodnictwie.

W naszym kraju prawie każdy folwark, jeżeli jest administrowany przez samego właściciela, posiada większy lub mniejszy sad owocowy, nie licząc koniecznego ogrodu warzywnego, a gdy zamiłowanie estetycznego otoczenia nie obce jest właścicielowi lub właścicielce, kwietniki i ogród spacerowy dopełniają całość.

Dotąd sady owocowe rozliczone były przeważnie na zaspokojenie potrzeb osobistych, stanowiąc skromną gałęź gospodarki rolnej, w ostatnich jednak czasach zrozumiano poważne znaczenie sadownictwa i zaczęto zakładać sady owocowe na większych przestrzeniach z charakterem hadlowym.

Kultura drzew owocowych, w porównaniu z uprawą płodów rolniczych, przedstawia dotąd obszerne pole do badań i oświetlenia bardzo wielu kwestji, i dla tego zwracanie się do dzieł i pism ogrodniczych, dla każdego kto w swej pracy nie chce błądzić i być narażonym na straty, stało się koniecznością.

Dotąd abonowaliśmy tygodniki i miesięczniki ogrodnicze z Warszawy, Krakowa, Petersburga. Od roku mamy w Kijowie tygodnik „Sadowod i Ogorodnik". Redaktor zna gruntownie swój przedmiot, ale obciążony obowiązkową pracą, jako starszy instruktor ogrodniczy gub. Kijowskiej, nie może wyłącznie poświęcić się pracy redaktorskiej,—w końcu, jak większość pism ogrodniczych, nie skupia uwagi wyłącznie na ogrodnictwie miejscowem, ale zatacza koło sięgające Krymu i Petersburga. Taka wszechpaństwowość nie tylko nie podnosi wartości pisma, ale czyni je mniej poczytnem w naszej prowincji.

Pismo, poświęcone literaturze, sztukom pięknym, polityce, sprawom społecznym, zależnie od charakteru i kierunku, gdziekolwiek jest wydawane, może skupiać piszących, przyciągać prenumeratorów z najodleglejszych stron, jeżeli i autorowie i czytelnicy sympatyzują z kierunkiem i charakterem pisma. Inna sprawa z pismem poświęconem sprawom rolnictwa i ogrodnictwa. W pierwszym wypadku o liczbie współpracowników i czytelników decyduje nie miejsce, gdzie się pismo wydaje, ale poziom umysłowy, kultura, nawet nastrój danej chwili i psychika społeczeństwa. Przeciwnie, współpracownicy i czytelnicy pism rolniczych i ogrodniczych—są to glebae adscripti; jeżeli należycie rozumieją swój obowiązek i korzyść, muszą się wyłącznie liczyć z warunkami otaczającej ich przyrody danej miejscowości, gdzie czerpią swoje spostrzeżenia, czynią doświadczenia, pracują dla chleba pod danym O^0 geograficznej szerokości i długości. Na ile w pierwszym wypadku pismo skupia myśli i uczucia z najdalszych okolic, o tyle w drugim obowiązuje, we własnym, dobrze pojętym interesie, być współpracownikami i prenumeratorami najbliżej wydawanego pisma rolniczo-ogrodniczego, bo obie te gałęzie pracy łączy naturalny związek i takie pismo jest w stanie dokładniej oświecić niwę, na której pracujemy.

Rozwój i zasobność rolnictwa i ogrodnictwa w całym kraju sciśle są zależne od szczegółowej, umiejętnej i celowej pracy oddzielnych części. Im bardziej fizyczny horyzont oddzielnych części bywa zacieśniony, tem związek pracowników będzie ściślejszy, praca bardziej owocną. Suma dokładnych, ogólnych wniosków—powstaje z umiejętnego zebrania, ugrupowania i sprawdzenia oddzielnych faktów i spostrzeżeń. Tylko na tej drodze będziemy w stanie zrozumieć, jaki kierunek i charakter pracy na polu ogrodniczem przyczynia się do rozwoju i podniesienia ogrodnictwa—jaki do jego upadku i zaniku.

Nie przeczę, że w ogrodnictwie jak i w rolnictwie, są sprawy ogólnego znaczenia, na które odpowiedź będzie jednobrzmiąca dla całego kraju. Jednak specjalne kwestje, od których zależy powodzenie danych kultur, — obowiązują liczyć się z miejscowemi warunkami klimatu, gleby, położenia topograficznego, z umysłowym i moralnym poziomem robotnika, charakterem handlu, rynkiem, drogami komunikacji i t. p.

Takie jednak odosobnienie, skupienie wzroku i wysiłków na daną prowincję, bynajmniej nie grozi zerwaniem związku z ogólnymi interesami ogrodnictwa w całym kraju. Pełnia i rozwój całego organizmu wtedy tylko jest zabezpieczona, jeżeli oddzielne części funkcjonują prawidłowo.

Dziś rządy państw pomału wyrzekają się systemu centralistycznego, oddając kwestje miejscowych potrzeb kulturalnych i materjalnych, oprócz ogólno-państwowych, miejscowym zarządom. To jeszcze bardziej potwierdza założenie, że w sprawach rolnictwa i ogrodnictwa, jeżeli mamy na celu rzeczywistą korzyść,—powinniśmy mieć swoje własne pismo, — w niem szukać rad i wskazówek.

Wydawnictwo „Rolnika Ukraińskiego“, nie dające się pomyśleć przy wyłączeniu zeń ogrodnictwa, wywołane zostało dobrze zrozumianą koniecznością miejscowego organu.

Tylko ludzie żywi, myślący, oddani pracy, świadomi celu, pomimo nakazu pana Czesława Jankowskiego, mogli zapoczątkować pismo rolnicze w polskim języku na kresach.

Mamy przecież grono pracowników na polu ogrodnictwa z Wołynia, Ukrainy i Podola, zasilających prasę ogrodniczą i znanych z umiejętnego prowadzenia dużych sadów owocowych. Mamy prawo, w imię ogólnego interesu, wymagać od nich stałego i tylko w niniejszym organie — współpracownictwa, gdyż rozpraszanie się ze swemi pracami po pismach ogrodniczych Warszawy, Krakowa, odległej Północy lub Południa,—mogło być dotąd koniecznością, choć bardzo często nie mogliśmy się nawzajem, jako pracujący pod zupełnie innemi warunkami, porozumieć. Dziś możemy zacząć pracować u siebie i dla siebie. Stąd nie wynika, żebyśmy mieli być ślepi i głusi na wyniki międzynarodowej prasy, na postęp i szukanie nowych dróg na polu ogrodniczem. Przeciwnie, — śledzić ogólny rozwój ogrodnictwa, jego wymagania na rynku wszechświatowym, jest naszym obowiązkiem. A nie tylko z zachodniej Europy, gdzie kultura jest starsza od naszej, ale i z Ameryki, nawet z Australji i południowej Afryki—idzie ku nam przeważnie światło pomologiczne. A my?... Nie mamy ani szkół, ani instytutów, ani pracowni poświęconych ogrodnictwu, ani specjalistów opłacanych hojnie; pracujemy dotąd w pojedynkę, rozstrzeleni i nie związani w poważne grona. Niech „Rolnik Ukraiński“ skupi te rozproszone siły,— nada tej pospólnej pracy powagę, siłę, doniosłość, — i da nam możność wnieść do ogólnej skarbnicy wiedzy rolniczo-ogrodniczej — poważny dorobek.

Ex-Rolnik z Podola.

▫ ▫ ▫

Martwe bogactwa.

(Z dziedziny melioracji rolnych.)

I.

W obecnej dobie żywego poruszenia umysłów, społeczeństwo nasze—jakby w nagłem ocknieniu—z przerażeniem spogląda za siebie wstecz, w ciemną przeszłość ubiegłego stulecia, i z boleścią widzi swą starą kulturę w zgliszczach, swój pochód cywilizacyjny wstrzymany i bezmierne pole pracy narodowej — zaległe... Organizujemy siły rozproszone, skupiamy rozbieżne pragnienia, by nareszcie znów ruszyć naprzód, by podążyć za postępem innych ludów zachodnich, z którymi pomimo wszystko jednej rodziny stanowić nie przestaliśmy. W dążeniach tych i wysiłkach najmniej bodaj dotąd zwrócono u nas uwagi na olbrzymie zadania pracy kulturalnej—dziś ledwie zlekka dotknięte—na pole meljoracji rolnych. W dziedzinie tej zacofanie nasze jest niemal największe, a straty z zaniedbania—kolosalne.

Tymczasem w przeszłości naszej było całkiem inaczej. My, pracownicy na tej niwie z zawodu, natrafiamy często na ślady bardzo dawnych meljoracji, pochodzące niewątpliwie z XVI i XVII stuleci.

Ileż to spotykamy po całym kraju olbrzymich grobel, zamykających doliny niemal wszystkich naszych

mniejszych i większych rzek i strumieni, a noszących nazwy „turecka“ lub „tatarska“, które świadczą o ich pochodzeniu z czasów harcowania na „dzikich polach“... Po spuszczeniu wód z ogromnych błót czy błotnistych jezior, wychodzą na jaw jakieś stare zarośnięte kanały, ślady szluz i mostów, o których istnieniu tradycja nawet najstarszych ludzi zupełnie zapomniała. [1]) W dawnych papierach rodzinnych są wskazówki, że już ongi przeprowadzano podziemne kanalizacje pól i inne ulepszenia, których ślady dotąd się przechowały. [2]) Były to roboty o charakterze więcej publicznym, przedsiębrane kiedyś przez możnych panów siłami darmowemi— niewolników wojennych lub chłopów pańszczyźnianych, choć wiadomą jest rzeczą, że już w XVI wieku pracowały w Polsce partje wolnych robotników, którzy pobierali płace akordowe zupełnie ustalone i ściśle oznaczone, co nader wymownie świadczy o rozwoju robót meljoracyjnych w naszej ojczyźnie. Słusznie też chlubimy się i tem, że w żywym językn europejskim pierwszy Polak, Olbrycht Strumieński, napisał oryginalne dzieło w r. 1573 „O sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybieniu stawów“, w którem wyłożył zasady poziomowania, budowli wodnych i wskazał normy płacy akordowej. [3]) Następne dzieło z tej dziedziny wydał Stanisław Stroynowski w r. 1609. [4]) Doczekało się ono kilku wydań w XVII i XVIII w. O miernictwie zaś pisał w r. 1566 p. t. „Geometrja“ Grzepski.

A zatem i pomniki literatury naszej i ślady owych robót dowodzą jasno, że w dobie Złotego Wieku kwitnęły u nas prace meljoracyjne w wielkim stylu i że w tym kierunku nawet przodowaliśmy naszym cywilizowanym sąsiadom z Zachodu. Następne stulecia przyniosły nam stopniowy upadek narodu i wreszcie—państwa, a na drodze postępu cofnęliśmy się wstecz aż tak dalece, że nawet zamarły świetne tradycje przeszłości. I chociaż wiek XIX od samego swego zarania zaznaczył się przebudzeniem naszego narodu, to jednak wandalizm obcych nam czynników sprawił to, żeśmy w pracy kulturalnej daleko odstali od innych ludów zachodnich.

Oczywiście, do postawienia sprawy, o której mowa, na właściwem stanowisku — wysokiego zadania wobec kraju i społeczeństwa — niezbędną jest inicjatywa rządu, a na inicjatywę tą wypadnie nam poczekać aż do chwili wprowadzenia u nas normalnych instytucji samorządnych... Jednakże niepodobna nam przecież siedzieć tymczasem z założonemi rękoma! Czas idzie, świat cywilizowany pędzi na drodze postępu w tempie coraz szybszem, a my mimo to poruszamy się bardzo ociężale.

Spojrzyjmy na sąsiadów o miedzę, na nasze dawne dzielnice polskie w Prusiech: popatrzmy się na te do niedawna bagna olbrzymie w okolicach Królewca i delty Niemna, a zobaczymy tam dzisiaj kwitnące kolonje chłopskie — niestety —niemieckie! A są to kompleksy ogromne: oto jeden projekt meljoracyjny (oczywiście rządowy) na torfowisku „Memonien“ obejmuje 38.000 hektarów, drugi projekt uregulował błoto „Rupka“—2.000 h.; olbrzymie zaś kolonje „Angstumal“, „Reva“ i „Elchtal“—każda po parę tysięcy morgów—założono pomiędzy latami 1898—1904. Kto był na wystawie meljoracyjnej w Królewcu w lipcu 1906 r., ten musiał doznać wrażenia wprost przygnębienia i przytłoczenia tą olbrzymią masą pracy kulturalnej, jaka już została dokonaną—tuż przed naszemi oczami. Można poprostu przerazić się tym ogromem zadania, jakie nas czeka, gdy się zwiedzi taką instytucję, jak stacja doświadczalna dla kultur torfowych w Bremie, w laboratorjach której pracuje 12-tu uczonych i inżynierów, która posiada swoje fermy nawet w obcych państwach (np. w Holandji). Cóż dopiero mówić o belgijskich i holenderskich feenach lub o oldenburskich moorach, na których dziś kwitnie rolnictwo i leśnictwo nie gorzej, niż na czaruoziomach!

W drugiej dzielnicy polskiej — w Galicji, sprawa meljoracji rolnych oddawna już spoczywa w rękach rządu krajowego i, choć nie można tam wskazać na tak monumentalne dzieła w tym zakresie, jak na Zachodzie—bo też i warunki topograficzne są tutaj zupełnie inne—to jednak dość jest uprzytomnić sobie ten fakt, że przy Wydziale krajowym pracuje z górą 120 techników kultury, aby mieć przybliżone porównanie z zastojem kraju naszego.

W SIKORSKI.

□ □ □

O działaniu środków dezynfekcyjnych przy zwalczaniu chorób epidemicznych u zwierząt.

Według c. k. węgiersk. wet. Dr. Józ. Kukuljevica.

Plagą naszych gospodarstw rolnych są różne choroby zaraźliwe, dziesiątkujące wszelakie zwierzęta domowe i udaremniające nieraz prowadzenie racjonalnej hodowli inwentarza. Dzisiaj, dzięki rozpowszechnieniu wiadomości z bakterjologji, wszyscy wiemy, iż drobnoustroje różnego rodzaju są przyczyną epidemicznych chorób i że tylko przez dezynfekcję walczyć i wyniszczać je możemy.

Zabiegi nad wyleczeniem chorych na zaraźliwe choroby zwierząt do niczego nie doprowadzą, jeżeli nie postaramy się o zniszczenie chorobotwórczego ogniska, a więc wytępienie drobnoustrojów, znajdujących się i po za

---

[1]) Budowle takie wyszły na widownię po spuszczeniu ogromnego jeziora - błota „Bilsko“ w Chełmszczyźnie (około 3000 mor.).

[2]) Tak naprz. w Łysołajach w Lubelskiem przechowuje się testament z r. 1724 ówczesnego właściciela Zawadzkiego, w którym nakazuje sukcesorowi ochraniać kanały podziemne w polach, których resztki dotąd ocalały.

[3]) Przed Strumieńskim na lat parę wypuścił w świat dzieło z tej specjalności Czech Jan Dubravius w języku łacińskim p. t. „De piscinis“ (Wrocław 1547). Na polski język dzieło to przetłomaczył ksiądz Audrzej Proga w r. 1660 p. t. „O rybnikach i rybach, które się w nich chowają“

[4]) „Opisanie porządku stawowego i przestróg niektórych domowego gospodarstwa, z pilnością uczynione od Stanisława Stroynowskiego z Stroynowa, teraz nowo w druku wydane r. P. 1609“.

organizmem zwierząt—w szparach koryt, podłóg, — gdyż tam właśnie te bakterje może najodpowiedniejsze dla rozmnażania się znajdują środowisko.

Znanem jest zjawisko, że im prostszy jest organizm jakiego żyjątka, tem łatwiej się ono rozplenia, ponieważ zaś owe zarazki są żyjątkami najniższego rzędu, to też rozmnażają się przez proste dzielenie komórek i, w sprzyjających rozwojowi warunkach, nadzwyczaj szybko się mnożą.

Lasecznik tyfusu naprzykład, na odżywce z buljonu, przy 37° C., mnoży się co 23 minuty i 24 sekundy.

Z jednego wibrijona cholerycznego może powstać przez 48 godzin 281 biljonów takich wibrijonów!

Wobec tak olbrzymiej siły rozrodowej drobnoustrojów, tylko przez stosowanie właściwych środków dezynfekcyjnych można przeciwdziałać ich rozwojowi. Przez wstrzymanie rozwoju bakterji i ich wyniszczenie nie zażegnamy jednak grożącego niebezpieczeństwa nowego wybuchu epidemji, gdyż odporność (wirulencja) różnych laseczników jest wielką i tak niejednakową, jak różnorodnemi są same drobnoustroje. Niektóre z nich przestają się plenić przy działaniu światła, ciepła, wilgoci czy suszy lub zimna, inne w tych właśnie warunkach bujnie się mnożą.

To też, zwalczając chorobotwórcze zarazki, nie można poprzestać na jakimś jednym środku dezynfekcyjnym, na jakimś jednym sposobie walki. Koniecznem jest, rozpoznawszy chorobę, stosować środki zapobiegawcze, które nie tylko na razie rozwój laseczników wstrzymają, lecz używać środków, zupełnie je niszczących, i to jeszcze nie tylko dane drobnoustroje, lecz ich zarodki (spory), które zwykle są odporniejsze od samych bakterji.

Niektóre z nich całe lata trwają i, dopiero znalazłszy się w odpowiednich dla rozwoju warunkach, ożywają, i mnożąc się stwarzają niespodziewanie ognisko zarazy. Większość chorobotwórczych zarazków ginie przez wysuszenie i pod działaniem promieni słonecznych, jak to wykazały doświadczenia Buchnera, lecz nie wszystkie, a szczególniej nadzwyczaj rozmaitą jest odporność zarodków, jak to na przykładach wykażemy:

Lasecznik, wywołujący zapalenie śledziony, przez wysuszenie ginie, lecz zarodki jego (spory) i po dziesiątku lat mogą spowodować zarazę.

Zarodki te po dwugodzinnem działaniu na nie 1‰ roztworu sublimatu nie giną, a w 5% roztworze kwasu karbolowego nawet po 2 miesiącach nie tracą zdolności rozwijania się. Tak samo zachowuje się lasecznik powodujący zadurat (tetanus). Lasecznik nosacizny ginie przy ciepłocie 55° po 10 minutach, przy 70—75° po 5 minutach, w 3% kwasie karbolowym po 5 minutach, a 1‰ roztworze sublimatu po 2 minutach. Zarazek epidemji świńskiej żyje bez dostępu powietrza 2—3 miesiące, ginie zaś przy ciepłocie 58° po 28 minutach, a pod działaniem 1% roztworu kwasu karbolowego lub 1:15000 sublimatu po 1 minucie. Lasecznik, wywołujący krwawą biegunkę u świń, doskonale znosi wysuszenie; przy 37° ciepła i po miesiącu nie ginie, jest od innych laseczników odporniejszy na działanie środków dezynfekujących, gdyż nawet w 2% roztworze kreoliny dopiero po 24 godzinach ginie; nie znosi on jednak wapna, i mleko wapienne czy chlorek wapnia łacno go zabijają. Wynika ztąd, że wobec krwawej biegunki u świń tylko przez dezynfekcję gorącym ługiem i mlekiem wapiennem pożądany wynik otrzymać można.

Zarazek, powodujący biegunkę u cieląt, pomimo wysuszenia jeszcze po dwu tygodniach może spowodować chorobę. Tem się tłomaczy, że wprowadzone do kojca cielę, w którym przedtem było chore cielę, a kojca po nim dobrze nie wydezynfekowano, bez widocznej przyczyny dostaje biegunki.

Należy więc, usunąwszy z kojca nawóz i wymiótłszy podłogę, zlać takową 2% roztworem sody, ściany zaś dezynfekować 5% roztworem kwasu karbolowego lub 1‰ roztworem sublimatu. Jednoprocentowy roztwór kwasu karbolowego jest w danym wypadku nie wystarczający.

Zarazek, powodujący epidemiczne poronienia u krów, nazwany imieniem odkrywcy lasecznikiem „Banga", ginie przy 55° ciepła po 3 minutach, a w 0.05% roztworze sublimatu ginie już po 15 sekundach, nie znosi on też 1% roztworu kwasu karbolowego i 2% roztworu kwasu octowego, w których po 1 do 2 minut ginie. W organizmie zaś zwierzęcym jest on bardzo odpornym.

Lasecznik zaraźliwego kataru pochwy u krów jest to z 6 do 8 pałeczek składający się streptokok i jest nadzwyczaj odporny, wytrzymuje on całymi miesiącami podwyższoną ciepłotę i nie łatwo ginie od działania odczynników chemicznych.

Dopiero w roztworze sublimatu 1:500, w roztworze azotanu srebra (lapisie) 0.5%, w 2% roztworze kwasu mlekowego i 2.5% roztworze lyzol'u czy kreoliny ginie. Przez odporność tego streptokoka wobec wysokiej ciepłoty, nawet w czasie lata, kiedy zwykle inne choroby epidemiczne mniej się rozwijają, ta choroba trwa bez zmiany.

Lasecznik choleryczny drobiu ginie od suszącego ciepłego powietrza. W wilgotnem środowisku zaś żyje miesiącami; a ponieważ kurniki najczęściej są wilgotne a często i ciemne, w nich też znajduje lasecznik najkorzystniejsze dla mnożenia się podłoże. W mięsie (padlinie) wytrzymuje lasecznik ten 40—50° C ciepła i w takich warunkach ginie dopiero po ¾ godziny. Należy więc w walce z nim w kurnikach stosować 5% mleko wapienne, a wszelkie zarażone przedmioty dezynfekować 2% karbolem, 0,5% kwasem siarczanym lub 1% chlorkiem wapnia, od których łatwo ginie. Padlinę najlepiej niszczyć przez spalanie.

Przytoczone przykłady dowodnie wskazują, jak nierówną jest odporność na różne odczynniki dezynfekujące różnych drobnoustrojów chorobotwórczych, nie trzeba więc, sprawdziwszy wartość dezynfekcyjną jakiegoś jednego środka, wojować nim we wszelkich wypadkach. Pamiętać należy, że tylko wtedy cel osiągamy, jeżeli nam się udało zniszczyć a nie stłumić tylko siłę rozwojową samych zarazków i ich zarodków (sporów)—w przeciwnym wypadku nigdy nie możemy być pewnymi, kiedy w obejściu naszem, bez widocznej przyczyny, wybuchnie ta czy owa epidemja, krórą, zdawało się, zwalczyliśmy.

St. W.

□ □ □

POLEMIKA.

Uwagi z powodu „Gawędy rolniczej“ p. J. Mejera p. t. „Kiedy i jak stosować nawóz zwierzęcy“.

Końcowe uwagi Szan. Autora „Gawęd“, jego pesymistyczna prognoza życia, wraz z zapewnieniem, że „wypowiadanie myśli, zdań, przekonań i porad w „Rolniku Ukraińskim“ musi być bardzo oględne, poważnie sprawdzone“... zlały się dla mnie w nieodparty sylogizm, którego wnioskiem zarówno teoretycznym, jak praktycznym byłoby stosowanie obornika wyłącznie według metody p. Mejera. (Rzecz prosta mam tu na myśli jedynie przeorywanie obornika w jesieni w ugorze, a nie wiosenną orkę pod buraki!)

Metoda ta jest w kraju naszym dosyć powszechnie znaną, a także stosowaną, i niewątpliwie za dobrą poczytywaną być winna. W szczegółową, krytyczną analizę dwu podanych przez p. Mejera doświadczeń polowych wchodzić nie będę. Niniejsze uwagi mają jedynie na celu uwydatnienie faktu, że każda kwestja techniki rolnej jest bezpośrednio związaną z organizacją gospodarstwa i że wobec tego stawianie sprawy li tylko na gruncie samej techniki musi być jej przedstawieniem jednostronnem i niedostatecznem.

Z drugiego doświadczenia p. Mejera wynika, że wywożenie obornika w jesieni i natychmiastowe przeoranie po owsisku, wypadającem pod ugór gnojony, jest nie tylko najbardziej racjonalnem, ale zapewnia także nad wyraz efektowną zwyżkę plonu i zysku. Pozwolę sobie więc przetransponować dane doświadczenia na warunki przeciętnego gospodarstwa. Przyjmijmy w założeniu, że mamy do czynienia z folwarkiem o obszarze 500 dz., normalnie zorganizowanym w pięciopolówkę z ugorem, normalnie rozrzuconym, posiadającym normalny brak robotnika i zaopatrzonym w normalnie ohydne środki komunikacji. Przyjmijmy dalej, że folwark ten posiada dostateczną ilość inwentarza dochodowego, aby mu zapewnić potrzebny obornik i inwentarz roboczy normalny t. j. taki, który pozwala na szybkie przeprowadzenie siewów wiosennych i należyte wykonanie podorywek i orek jesiennych. Za najbardziej racjonalne dla takiego folwarku uważałem dotąd wywożenie nawozu i natychmiastowe rozrzucanie częściowo w zimie po zamarzłej orce, częściowo po siewach wiosennych.

Przypuśćmy teraz, że folwark, jak powyżej, zechce zastosować metodę, bezwzględnie zalecaną przez doświadczenie p. Jana Mejera. Wypadnie więc nawóz wywozić we wrześniu. Miesiąc ten odznacza się specjalną trudnością najmu, przedewszystkiem ciągła roboczego, niedostatecznego zawsze w okresie dostawy buraków. Folwark więc, o ile uniknąć ma naruszenia normalnego toku robót, uciec się musi do powiększenia swego remanentu roboczego ponad przyjętą normę. Powiększenie takie będzie nie małe. Wywiezienie obornika na przyjęte przez nas 100 dz., o ile ma być prawidłowo wykonane, nie powinno zająć ponad 30 dni roboczych. Na wywiezienie w takim przeciągu czasu 4,000 fur 40 pudowych wypadnie mieć do rozporządzenia 17 par koni. Ponieważ folwark o obszarze 500 dz. z 20% okopowych daje się obsłużyć (przy systemie wywożenia obornika, stosowanym na parceli № 6 przez p. Mejera) ilością 30—35 par koni, będziemy mieli do czynienia z powiększeniem ciągła roboczego o ładne 50%. Gdyby nie doświadczenie p. Mejera, powiększenie to należałoby uznać za bezcelowe, ale nadzieja osiągnięcia podanej przez p Mejera nadwyżki 75 rb. 8 kop. na 1 dz. w przeciągu 3 lat, jest zbyt pociągającą, abyśmy nie mieli poniechać dotychczasowego stosowania obornika (parcela № 6) i nie zastosowali lepszego (parcela № 2).

Nabywszy więc 17 par koni, koszta utrzymania ich, amortyzacji i t. d., w sumie 4,760 rb., rozkładamy oczywiście na sto dziesięcin naszego ugoru. Co więcej, obciążamy każdą dziesięcinę tegoż ugoru stratą, wynikłą z niedorobku naszych 30 par koni w zimie i późniejszą wiosną. Niedorobek ten (przyjmując za średnią ilość dni odrobkowych 240) wyniesie 12,5% ich utrzymania czyli na 1 dz. 4 rb. 95 kop. Dodajmy do tego różnicę kosztów najmu, którą skromnie wyrazi kwota 3 rb., a spostrzeżemy, że 1 dz. ugoru obciążyliśmy — (47,60+4, 95 + 3,00) sumą 55 rb. 55 kop., pozostaje sperandy 19 rb. 53 kop.

Cyfra powyższa, rozłożona na przeciąg lat trzech, wydaje mi się zbyt skromną, aby na podstawie doświadczenia p. Mejera usunąć miała wątpliwości teoretyczne. A wątpliwości te mnożą się niepospolicie ostatniemi czasy.

Zagadnienie statyki we wszelkich jej formach przechodzi zwolna do archiwum historji, wysuwające się zaś na czoło nowszych poglądów teorje mikrobiologiczne zgoła odrębne zapowiadają przykazania.

Słowem: ciekawe i pouczające spostrzeżenia p. Mejera nie mogą uchodzić ani teoretycznie ani praktycznie za bezwzględną wskazówkę.

Należąc do przeciwników natychmiastowego przeorywania nawozu, rzuciłem na tle wskazań p. Mejera nasuwające mi się zastrzeżenia.

Teoretyczne uzasadnienie mego poglądu zabrałoby, rzecz prosta, zbyt wiele miejsca.

Dr. W. J. Grzybowski.

□ □ □

RÓŻNE.

Z Tow. Rolniczego Kijowskiego. Wydział hodowlany Kijowskiego T-wa Rolniczego zawiązał w swoim czasie stosunki z towarzystwami hodowców w Szwajcarji oraz utworzył specjalną komisję, mającą za zadanie zakupywanie na miejscu szwajcarskiego bydła zarodowego, niezbędnego dla tutejszych hodowców. Jednakże, wobec rozpowszechnionych w Szwajcarji chorób wśród bydła, z których największe niebezpieczeństwo stanowią suchoty, rada Towarzystwa uznała za rzecz niezbędną niezwłocznie podczas pierwszych zakupów bydła szwajcarskiego w kwietniu r. b. zbadać tę kwestję na miejscu i zapoznać się z zapatrywaniem na nią specjalistów szwajcarskich. Dla zbadania stanu rzeczy T-wo zamierza delegować do Szwajcarji osobę zupełnie kompetentną.

Oprócz tego Rada Towarzystwa zwróciła się do kijowskiego ziemstwa gubernialnego z prośbą delegowania do komisji zakupu bydła zarodowego gubernialnego weterynarza ziemskiego, p. K. Choromańskiego, który udałby się razem z komisją do Szwajcarji.

Wśród ogrodników. W wydziale ogrodniczym Kijowskiego Towarz. Rolniczego odbyło się niedawno z udziałem specjalistów w zakresie kooperacji zebranie organizacyjnego Tow. dla zbytu owoców. Towarzystwo zamierza zakładać w całej gubernji kooperatywy włościańskie, zjednoczone w centralnem Towarzystwie Kijowskiem. W Kijowie zamierzono zbudować chłodnie dla owoców i założyć sklep dla ich sprzedaży.

Wystawa kultury torfowisk. W dn. 15 — 23 sierpnia st. st. r. b., odbędzie się w Wilnie wystawa kultury łąk i torfowisk, urządzana przez Wileńskie i Kowieńskie Towarzystwa Rolnicze. Wystawa ma obejmować gubernje Litwy, Białorusi oraz prowincje Nadbałtyckie. Wystawa będzie się dzielić na 6 oddziałów: 1) Kultura łąk i gospodarstwa polowe, 2) Meljoracje i maszyny. 3) Oddział techniczny. 4) Leśnictwo. 5) Oddział naukowy. 6) Rybactwo i rybołówstwo. Wobec żywego zainteresowania, jakie w obecnych czasach wzbudziła sprawa kultury torfowisk i łąk sztucznych, oraz dzięki energicznej działalności Komitetu Wystawy, należy przypuszczać, że będzie na niej wyczerpująco przedstawione wszystko, co dotychczas w tej gałęzi przemysłu rolnego osiągniętem zostało. Ostateczny termin zapisu eksponatów upływa z dn. 15 —28 czerwca r. b.

Z handlu mięsnego. Ciekawy przyczynek do handlu wywozowego mięsa z Rosji do Niemiec stanowi umowa berlińskiej Rady miejskiej z dostawcą koncesjonarjuszem p. Aronem z Warszawy. Według owej umowy, zawartej 12-go października 1912 do 1 paźdz. 1913 roku, Rada miejska Berlina zobowiązała się od p. Arona przyjmować tygodniowo nie mniej jak 9000 pudów mięsa, płacąc za pośrednictwo tylko 98,4 fenig. za pud (6 f. za 1 kop.) — powyżej kosztów zakupu i wszelkich innych wydatków. Najmniejszy więc zarobek p. Arona wynosił 4500 m. tygodniowo, lecz bywały miesiące, że Berlin importował podwójną ilość mięsa, a więc i p. Aron podwójnie zarabiał. Piękny zarobek!! Czy też nasze spółki rolnicze nie mogłyby zastąpić — działalności takiego pośrednika?

NAKŁADEM KIJOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ.
Redaktor-Wydawca: Jan Ursyn-Zamarajew. Czcionkami Drukarni Polskiej, Kijów